

TBOFIL GAUTIER

KLUB HASZYSZYSTÓW

przetłumaczył JAN PARANDOWSKI



Pamiętaj



ten znak!

622

WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”
Warszawa, ul. Montuski Nr. 11



BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0100507

BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

Warszawa, ul. Moniuszki 11, Konto P. K. O. 11.142

WARUNKI PRENUMERATY:

łącznie z dodatkami dla młodzieży i ma-
gazyne nHP, z przesyłką pocztową:
kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 93,
w oprawach „ 13 „ 93.

*Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej i wszystkie urzę-
dy pocztowe.*

Ilustrowane katalogi gratis i franko.

Znak 55 groszowego Wydawnictwa prawnie zareje-
strowany i naśladownictwa będą sądownie ścigane.

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Warszawska 591

K-92/77/82416

I

Pałac Pimodan

Posłuszny tajemniczemu wezwaniu, ułożonemu w sposób zagadkowy, zrozumiały jedynie dla wybranych, niepojęty zaś dla innych — udałem się w pewien wieczór grudniowy do odległej dzielnicy, tworzącej w samym środku Paryża rodzaj zacisznej oazy, którą rzeka otacza ramionami, jakby biorąc w obronę przed wścibstwem cywilizacji. Albowiem ten dziwny klub, którego członkiem byłem odniedawna, urządził posiedzenia w starym domu na wyspie św. Ludwika, w pałacu Pimodan, zbudowanym przez Lauzuna.

Było to pierwsze posiedzenie, w którym miałem wziąć udział.

Mimo że była dopiero szósta godzina, noc panowała zupełna.

Mgła, zgęszczona jeszcze oparami Sekwany, owijała wszystkie przedmioty jakby w watę, podartą i postrzępioną w kilku miejscach przez czerwone aureole latarni i przez smugi światła, wymykające się z oświetlonych okien.

Bruk, zalany deszczem, błyszczał pod latarniami, jak woda, odbijająca rzędy świateł, płonących na brzegu. Ostry wiatr smagał twarz igielkami lodu, a jego gardłowe gwizdy tworzyły górne tony tej symfonji, której nabrznięte fale, rozbijając się po arkadach, przechodziły w bas: nie brakło tego wieczoru nic z surowej poezji zimy.

Nie było rzeczą łatwą, na tem opustoszałem wybrzeżu, wśród tej masy ciemnych budynków, odnaleźć dom, którego szukałem; wkońcu woźnica mój podniósł się z siedzenia i zdołał odczytać na płycie marmurowej do połowy wyblakłą nazwę starego pałacu, miejsca zgromadzeń adeptów.

Wziąłem do ręki rzeźbiony młotek (dzwonki o tastrze miedzianym nie były jeszcze w użyciu w tym kraju zacofanym) i słyszałem, jak sznur kilkakrotnie zazgrzytał bez skutku; nakoniec, ustępując pod silniejszym naciskiem, zardzewiałe rygle rozwarły się, i brama o potężnych podwojach zdołała się obrócić na zawiasach.

Kiedy wszedłem, z za mętnej żółtawej szyby ukazała się głowa starej odźwiernej, obrysowana drgającym światłem świecy— gotowy obraz Skalkena. Głowa powitała mnie dziwnym grymasem, a chudy palec, wytknięty z poza okienka, wskazał mi drogę.

O ile mogłem zauważyć przy tem bladym świetle, jakie pada zawsze nawet z najciemniejszego nieba, dziedziniec, przez który przechodziłem, otoczony był starą architekturą o murach ostro

zakończonych; czułem wilgoć na nogach, jakbym szedł przez łąkę, albowiem przerwy między płytami kamiennymi zarośnięte były trawą.

Wysokie okna klatki schodowej płonęły jasno na tle ciemnej fasady i służyły mi za przewodnika, nie pozwalając zabłądzić.

Znalazłem się tedy u stóp jednej z tych olbrzymich klatek schodowych, jak je budowano od czasów Ludwika XIV, tak wielkich, że w nich dzisiejsze damy swobodnie tańczyłyby mogły. Egipska chimera w guście Lebruna, z amorkiem na grzbiecie, wyciągała swe łapy na piedestale i trzymała świece w szponach zakrzywionych tak, że tworzyły jakby krążek lichtarza.

Schody wspinały się wgórę łagodnie; ustępy i zakręty, dobrze rozłożone, świadczyły o geniuszu starego architekta i o wspaniałości życia wieków minionych; wstępując po tych okazałych schodach, ubrany w mały czarny fraczek, miałem wrażenie, że jestem plamą na tem rozkosznem tle i uzurpuję sobie przywileje, do których nie mam prawa; schodki dla służby byłyby dla mnie aż nadto dobre.

Ściany ubierały obrazy, przeważnie bez ram, kopje arcydzieł szkoły włoskiej i hiszpańskiej, a wgórze, w mroku, rysował się niewyraźnie wielki plafon, zawierający jakiś fresk mitologiczny.

Wszedłem na wskazane piętro.

Zadzwoniłem; otworzono mi ze zwykłemi ostrożnościami i znalazłem się w wielkiej sali, oświe-

tlonej w samym końcu przez kilka lamp. Wchodząc tam, pozostawiało się za sobą dwa stulecia. Zdawało się, że czas, co mija tak szybko, nie przepłynął nad tym domem i, jak zegar, który zapomniano nakręcić, wskazywał wciąż tę samą datę.

Ściany z boazerjami, białe malowanemi, do połowy były pokryte szczerbami płótnami, noszącymi znamię epoki; na olbrzymim kominku wznosiła się statua, o której można było sądzić, że ją wykradziono z parku wersalskiego. Na pułapie, zaokrąglonym w kopułę, pokutowała jakaś niebdałe narysowana alegorja w guście Lemoine'a, a być może nawet własne jego dzieło.

Skierowałem się ku oświetlonej części sali, gdzie dokoła stołu poruszało się kilka ludzkich kształtów, i z chwilą, gdy stanąłem w kręgu światła tak, że mnie można było poznać, gromkie „hura“ wstrząsnęło akustyczną głębią starego gmachu.

— To on, to on!—wołało kilka głosów naraz.— Niech mu dadzą jego porcję!

Doktor stał koło kredensu, gdzie znajdowała się taca, pełna talerzyków z japońskiej porcelany. Z kryształowej wazy dobywał zapomocą kopystki po kawałku pasztetu, czy jakiejs konfitury koloru zielonawego, i kładł na każdym talerzyku obok łyżeczki z połączanego srebra.

Twarz doktora promieniała entuzjazmem; oczy mu błyszczały, policzki barwiły się rumieńcem,

żyły na skroniach napreżyły się, rozdęte nozdrza silnie wdychały powietrze.

— Będzie to panu odliczone od pańskiej porcji raj—rzekł, podając mi talerzyk.

Gdy każdy już zjadł swą porcję, podawano kawę na sposób arabski, to jest razem z fusami i bez cukru.

Poczem zasiedli wszyscy do stołu.

Te opaczne zwyczaje kulinarne bezwątpienia zdziwiły czytelnika; w istocie nie jest przyjęte pić kawę przed zupą i zwykle dopiero na deser podają konfitury. Rzecz zatem wymaga wyjaśnienia.

II

Nawias

Istniał niegdyś na Wschodzie zakon straszliwych sekciarzy, na którego czele stał pewien szejik, noszący tytuł Starca z Gór albo Księcia Assasynów.

Ten Starzec z Gór wymagał ślepego posłuszeństwa; jego poddani, Assasyni, wykonywali z bezwzględnem poświęceniem wszelkie jego rozkazy; nie cofali się przed żadnem niebezpieczeństwem, nawet przed zupełnie pewną śmiercią. Na jedno skinienie wodza rzucali się ze szczytu wieży, szli, aby zabić któregośkolwiek z władców w własnym jego pałacu, w pośród jego straży.

Jakże to sztuką Starzec z Gór wyrobił w nich takie zupełne wyrzeczenie się swego ja?

Zapomocą pewnej cudownej mikstury, której tajemnicę przyrządzenia on jeden znał; miała ona tę właściwość, że wywoływała olśniewające widzenia.

Ktokolwiek jej skosztował, po ocknięciu się z upojenia odnajdywał wokoło siebie życie takie smutne, takie bezbarwne, że z radością poświęcał je, aby jak najrychlej wrócić do rajy swych marzeń; albowiem każdy, kto, wypełniając rozkaz szeika, poniósł śmierć, szedł prosto do nieba, a kiedy mu się udało uniknąć niebezpieczeństwa, na nowo był dopuszczony do rozkoszy, jakimi darzyła owa tajemnicza mikstura.

Otóż ten pasztet zielony, którym nas doktor obdzielił, był właśnie tą samą mieszaniną, jaką niegdyś podawał swym fanatycznym wyznawcom Starzec z Gór, a oni wierzyli, że ma do rozporządzenia niebo Mahometa i huryski wszystkich trzech kategorii; był to zaś poprostu haszysz.

Z pewnością ci wszyscy ludzie, którzy widzieli, jak wyjeżdżałem z domu w porze, gdy zwykli śmiertelnicy spożywają swój posiłek wieczorny—nie domyślali się nawet, że udaję się na wyspę świętego Ludwika, w tę dzielnicę tak cnotliwą i patryjarchalną, poto, aby się uraczyć dziwną potrawą, jaka kilka wieków temu służyła za środek podniecający oszukańczemu szeikowi, który swych wiernych nakłaniał do zbrodni. W całej mej postawie mieszczańskiej nic nie wskazywało na podobne skłonności orjentalistyczne; wyglądałem ra-

czej pa siostrzeńca, który jedzie na obiad do starej ciotki, niż na człowieka, wierzącego w rozkosze raju Mahometa i zażywającego tych słodczy w towarzystwie dwunastu Arabów, takich, jak i ja sam, najautentyczniejszych Francuzów.

Gdybym wam sam tego nie powiedział, nie uwierzylibyście, że w Paryżu, w roku 1845, w epoce paskarstwa i kolei żelaznych, istniał klub haszyszystów, nie opisany przez pana Hammera — a jednak nic równie prawdziwego, zwyczajem wszystkich rzeczy nieprawdopodobnych.

III

Agape

Uczę zastawiono w sposób dziwaczny, w naczyniach niezwykłych i malowniczych.

Wielkie szkła weneckie z mlecznemi żyłkami, wijącemi się jak węże, kufle niemieckie, ozdobione herbami, dzbanki flamandzkie emaljowane, flakony o smukłych szyjkach, otoczone plecionką z łyka—zastępowały kieliszki, butelki i karafki.

Ciemna porcelana Ludwika Leboeufa i angielskie fajanse w kwiatki — zwykła ozdoba stołów mieszczańskich—błyszczały nieobecnością i ani jeden talerz nie był taki sam, lecz każdy odznaczał się jakąś szczególną zaletą. Chiny, Japonja, Sasy dały tam próbki swych najpiękniejszych materjałów i najbogatszych kolorów: wszystko nieco powyszczerbiane, trochę obtłuczone, lecz wszystko w jak najwytworniejszym guście.

Półmiski były to przeważnie emalje Bernarda Palissy lub fajanse z Limoges—i nieraz nóż krajczego napotykał pod rzeczywistymi potrawami podobiznę jakiegoś płaza, żaby lub ptaka. Jadalny węgorz wił się wśród splotów malowanego węża.

Każdy uczciwy filister doznałby pewnego przeżenia na widok tych biesiadników, o gęstych czuprynach, z brodami i wąsami, lub ogolonych w jakiś niezwykły sposób, wywijających nożami z XVI w., malajskimi krissami, nawadżami, pochylonych nad potrawami, którym refleksy niepewnego światła nadawały wygląd podejrzan.

Obiad miał się ku końcowi; niektórzy z bardziej wrażliwych odczuwali już skutki zielonej mikstury: co do mnie, miałem wrażenie, jakby smak mój uległ jakiejś gwałtownej przemianie. Woda, którą piłem, miała dla mnie smak wybornego wina, mięso zmieniło się w moich ustach w maliny—i odwrotnie. Nie potrafiłbym odróżnić kotleta od brzośkwini.

Spostrzegłem, że sąsiedzi moi wyglądają nieco oryginalnie; źrenice mieli rozszerzone, jak u sowy; nosy wydłużyły im się, jak trąba słonia; usta ich rozwierały się, jak otwór grzechotki. Oblicza ich mieniły się nienaturalnymi barwami.

Jeden z nich, o twarzy bladej, ukrytej wśród czarnej brody, śmiał się do jakiegoś niewidzialnego obrazu; drugi czynił nieprawdopodobne wysiłki, aby podnieść szklanę do ust, i jego męczar-

nie wywoływały ogłuszające okrzyki reszty towarzystwa.

Ktoś inny wśród drgań nerwowych kręcił młynka wielkimi palcami z niesłychaną szybkością; jeszcze inny rzucił się na tył krzesła i z oczyma błędnymi, z opuszczonemi martwo ramionami, pozwalał się unosić rozkoszy ku niezgłębionemu oceanowi nicości.

Wsparłem łokcie na stole i przypatrywałem się wszystkiemu z resztkami świadomości, która mnie powoli opuszczała i wracała chwilami, podobna lampce nocnej, bliskiej zgaśnięcia. Członki moje ogarniała jakaś tępa gorączka i szaleństwo—niby fala, pieniała się na skale, fala, co przychodzi i odpływa, aby znów wrócić za chwilę—szaleństwo zalewało mi mózg i wkońcu opanowało go zupełnie.

Dziwny gość, halucynacja, przyszedł i zamieszkał we mnie.

— Do salonu, do salonu! — zawołał jeden ze współbiesiadników—czy nie słyszycie tych chórów niebiańskich? Oddawna już muzykanci stoją przy swych pulpitych.

Jakoż w istocie słodka harmonja szła ku nam gęstemi falami poprzez zgiełk rozmów.

IV

Pan, którego nie zaproszono

Salon jest to wielki pokój z lamperjami, rzeźbionemi i złoconemi, z malowanym pułapem, z fry-

zami, na których satyrowie gonią nimfy, kryjące się wśród sitowia, z wielkim kominkiem z barwnego marmuru, z szerokimi firankami z brokate-li — pokój, gdzie oddycha się przepychem czasów minionych.

Miękkie meble, kanapy, fotele i berżerki, dość szerokie, aby spódnice księżniczek i markiz mogły się w nich pomieścić wygodnie — przyjęły haszyszystów w swe rozkoszne, wiecznie otwarte ramiona.

Szofeza, stojąca wedle kominka, patrzyła na mnie żalotnie; rozłożyłem się na niej i bez oporu oddałem się działaniu fantastycznej mikstury.

Po kilku minutach moi towarzysze znikli, jeden po drugim, nie pozostawiając innego śladu, jak swój cień na ścianach, a wkrótce i ten się rozplynął; — podobnie znikają pod działaniem słońca brudne plamy, które woda zostawia na piasku.

Od tego zaś czasu, kiedy straciłem świadomość i przestałem ich widzieć, musicie się zadowolić opowiadaniem mych prostych osobistych wrażeń.

W salonie panowała samotna cisza, rozjaśniona jedynie kilku niepewnemi światłami; poczem, nagle, pod powiekami przeleciała mi czerwona błyskawica, niezliczona ilość świec zapaliła się sama przez się, i czułem się jakby skąpany w ciepłym złotem świetle. Miejsce, w którym się znajdowałem, pozostało takie samo, tylko jakby na nowo przerysowane; wszystko było jakby większe, bogatsze, bardziej okazałe. Rzeczywistość służyła je-

dynie za punkt oparcia dla przepysznych halucynacji.

Nie dostrzegłem jeszcze nikogo, a jednak odgadywałem już obecność jakiegoś tłumu ludzi.

Słyszałem szelest sukni, szmer trzewików, szepoty, stłumione śmiechy, hałas odsuwanych foteli i stołu. Rozstawiano porcelanę, otwierano i zamykano drzwi; działo się coś niezwykłego.

Jakaś zagadkowa postać zjawiała się nagle przede mną.

Którędy on wszedł? nie wiem. Zresztą widok jego nie przeraził mnie wcale: miał nos zakrzywiony, jak dziób ptaka, oczy zielone, otoczone trzema brunatnymi kręgami; olbrzymią chustką przecierał sobie oczy co chwila; jego cienką szyję dusił wysoki, sztywny biały kołnierzyk, z poza którego wyłaniały się czerwone fałdy policzków; kołnierz był przepasany krawatem, w którego węźle tkwiła wizytówka z takim napisem: *Daucus-Carota, ze Złotego Garnuszka*; czarny surdut o kwadratowych połach, skąd zwieszały się breloki na podobieństwo winogron, opinał jego gruby tułów o piersiach kapłona. Jego zaś nogi, muszę przyznać, były zrobione z korzenia mandragory, rozszczerzonej, czarnej, pomarszczonej, pełnej sęków i guzów—zdawało się, jakby ją świeżo wyrwano, albowiem cząstki ziemi były jeszcze przyklepione do włókien. Te nogi rzucały się i kręciły z niesłychaną szybkością, i kiedy ów mały tors, który one podtrzymywały, zbliżył się ku mnie, dziwna isto-

ta wybuchła głośnym płaczem i, ocierając sobie oczy rękawem, ozwała się do mnie głosem jak najbardziej bolesnym:

— Oto dziś trzeba umrzeć ze śmiechu!

I łzy, grube jak groch, poczęły się sypać po jego policzkach.

— Ze śmiechu... ze śmiechu...—powtarzały jak echo niezgodne chóry nosowych głosów.

V.

Fantasia

Spojrzałem na sufit i zobaczyłem mnóstwo głów bez tułowia, jak to malują cherubinów — a głowy te miały wyraz tak zabawny, fizjognomję tak jowialną i tak do głębi szczęśliwą, że nie mogłem się oprzeć, aby nie podzielić ich wesołości.—Oczy ich były zmrużone, usta rozszerzyły się, nozdrza się rozděły: takie pocieszne grymasy mogły człowieka uleczyć ze spleenu. Owe maski komiczne poruszały się w kołach, obracających się w kierunku przeciwnym, co wywoływało wrażenie czegoś oślepiającego i zawrotnego.

Zwolna cały salon zappełnił się dziwnymi figurami, jakie spotyka się jedynie na akwafortach Calotta i akwatintach Goyi: mieszanina łachmanów i gałganków charakterystycznych, kształtów ludzkich i zwierzęcych. W każdej innej okoliczności byłbym zaniepokojony podobnem towarzystwem, wszelako przyznać trzeba, że w tych poczwarach

nie było nic groźnego. W źrenicach ich błyszczała złośliwość, nie zaś dzikość. Jakiś dobry humor błakał się po tych zębiskach wyszczerzonych.

Jakgdybym był królem zabawy, każda z figur pokolei wchodziła w oświetlony krąg, którego środek ja zajmowałem, i z wyrazem groteskowej skruchy mamrotała mi do ucha rozmaite fraszki. Nic już z tego nie pamiętam, lecz wówczas wydawały mi się one zdumiewająco dowcipne i wprawiały mnie w szaloną wesołość.

Za zjawieniem się każdej nowej postaci wybuchał koło mnie z łoskotem grzmotu śmiech homerycki, olimpijski, ogromny, ogłuszający, śmiech, który zdawał się rozbrzmiewać w nieskończoności.

Głosy napóły skrzeczące i grobowe krzyczały:

— Nie, tego już zawiele; to takie śmieszne! Mój Boże, mój Boże, jakże się uśmiełem! Coraz lepiej, coraz lepiej!

— Dość już, przestańcie! nie mogę już więcej... Cho, cho! hu, hul chi, chi! Jaka doskonała komedja! Co za świetny dowcip!

— Przestańcie! duszę się! umieram! Nie patrzcie na mnie w ten sposób!...

Pomimo tych protestów napół komicznych, napół błagalnych, przeraźliwa wesołość wzrastała coraz bardziej, hałas wzmagał się z każdą chwilą, podłogi i ściany domu podnosiły się i drżały jak serce ludzkie, wstrząsane tym śmiechem frenetycznym, niepohamowanym, nieubłagany.

Wrychle, zamiast jak dotychczas przedstawiać

mi się po jednemu, te zjawy groteskowe obległy mnie kupą, potrząsając długimi rękawami, platając się w swych długich szatach jakichś czarodziejów, otoczone białą chmurą puchu, który się obsypywał z ich peruk; kręcąc się koło mnie, śpiewały fałszywie przeróżne niesłychane pieśni o ry-mach nieprawdopodobnych.

Wszystkie typy, stworzone żartobliwą werwą narodów i artystów, znajdowały się tam, lecz jakby obdarzone dziesięćkroć, stokroć większą mocą. Było to dziwne zbiegowisko: neapolitański Pulcinella klepał poufale po garbie angielskiego Puncta, arlekin z Bergamo ocierał swą czarną głowę o pobieloną maskę francuskiego pajaca, który wydawał straszliwe okrzyki; doktor boloński sy-pał tabakę do oczu ojca Kassandra; Tartaglia jeździł na kłownie, jak na koniu, a Gilles kopał w zadek don Spaventa; Karagheuz, uzbrojony w swą łaskę nieprzyzwoitą, bił się z jakimś błaznem oskij-skim.

Nieco dalej miotaly się bezładnie zjawy snów dziwnych, stwory mieszane, bezkształtne połączenia człowieka, zwierzęcia i przedmiotu martwego: mnisi, mający koła zamiast nóg i brytwanki zamiast brzucha, wojownicy, okryci zbroją z naczyń kuchennych, trzymający w szponach ptasich szable drewniane, mężowie stanu oskubani na rożnach, królowie, zanurzeni do połowy ciała w budkach szyldwachów, podobnych do pieprzniczek, alchemiści o głowach, wydętych jak pęcherze,

o członkach, powyginanych w alembiki, rozpusznicy złożeni z jakiejś kombinacji dyń, dziwacznie nabrzmiałych—wszystko, co tylko narysować zdoła w gorączce olówek cynika, którego łokciem kieruje wyobraźnia pijacka.

Ruszało się to, pelzało, dreptało, skakało, mruczało, świszczało—jak mówi Goethe w nocy Walpurgji.

Chcąc uniknąć nieznośnego natręctwa tych barokowych postaci, zaszyłem się w ciemny kąt, skąd mogłem je widzieć, jak oddawały się tańcom, jakich nie znał renesans za czasów Chicarda, ani opera za rządów Musarda, króla rozpasanego kadryla. Ci tancerze, tysiąc razy wyżsi od Moliera, Rabelaisa, Swifta i Woltera, przebierając nogami i kołysząc się w biodrach, tworzyli na poczekaniu komedje tak głęboko filozoficzne, satyry tak znakomite i zjadliwe, że trzymałem się za boki ze śmiechu.

Daucus-Carota, nie przestając wycierać sobie oczu, wykonywał piruety i skoki niepojęte, zwłaszcza u człowieka, który miał nogi z korzenia mandragory — a przytem wciąż powtarzał zabawnie żalonym głosem:

— Dziś trzeba umrzeć ze śmiechu!

Ach, gdybyście mogli widzieć ten piekielny bal, wywołany haszyszem, poznalibyście, że najweselsi komicy z naszych teatrzyków nadają się jedynie do tego, aby ich maski wyrzeźbić na katarfalku lub na grobowcu!



Ileż tu twarzy, konwulsyjnie wykrzywionych!
ileż oczu, błyskających sarkazmem! co za gęby za-
kazane! co za nosy wielokątne, prześmieszne! co
za brzuchy wzdęte pantagruelicznym kpiarstwem!
Poprzez to całe kłębowisko pogodnego ko-
szmaru rysowały się w błyskawicach nieoczekiwa-
nego podobieństwa i nieodpartego efektu kary-
katury tak świetne, że na ich widok Daumier
i Gavarni pożółkliby z zazdrości, oraz fantazje
tak śmiałe, że niczem są wobec nich cudowni
artyści chińscy, ci Fidjasze straszylet i koczeko-
danów!

Nie wszystkie jednak zjawy były potworne lub
komiczne; nie brakło też i wdzięku na tym karna-
wale kształtów; niedaleko kominka mała główka
o liczkach jak brzoskwinie tarzała się na swych
złotych włosach i w przystępie nieugaszonej we-
sелоści pokazywała trzydzieści dwa zęby, wielkie,
jak ziarnka ryżu, i śmiała się śmiechem ostrym,
drgającym, srebrzystym, nieskończonym.

Radosne wesele doszło do szczytu; słyszało się
już tylko westchnienia konwulsyjne, bełkotania
nieartykułowane. Śmiech przeszedł w kwik, spazm
następował po rozkoszy; refren Daucusa-Caroty
zaczynał się sprawdzać.

Już kilku haszyszystów w zupełnym bezwła-
dzie stoczyło się na ziemię, z tą miękką ociąża-
łością ludzi pijanych, która chroni przed niebez-
pieczeństwami upadku; okrzyki jak:—„Mój Boże,
jakiż jestem szczęśliwy! co za szczęście! rozply-

wam się w ekstazie! jestem już w raj! pograżam się w otchłaniach rozkoszy!“ — krzyżowały się, mieszały, pokrywały.

Z uciśnionych piersi dobywały się chrapliwe okrzyki; ramiona wyteżały się namiętnie ku jakiejś wizji ulotnej; pięty i głowy bębniły po podłodze.

Czas już było cisnąć krople zimnej wody na te opary gorące, bo kocioł mógł pęknąć lada chwila.

Powłoka ludzka, tak nieodporna na rozkosz, a tak wytrzymała na ból, nie zniosłaby większego ciśnienia szczęścia.

Jeden z członków klubu, który nie brał udziału w tem rozkosznem zatruciu, aby móc czuwać i nie pozwolić spuścić się z okna tym z pośród nas, którymby się zdawało, że mają skrzydła — wstał, otworzył fortepian i usiadł. Jego zgodne ręce zagłębiły się w klawiszach, i wspaniały akord siłą stłumił wszystkie hałasy i zmienił kierunek upojenia.

• VI

K i e f

Była to, jak mi się zdaje, partja Agaty z „Wolnego strzelca“; ta niebiańska melodia wnet rozproszyła śmieszne widma, któremi byłem osaczony — jak powiew wiatru rozprasza chmury. Upiory powpełzały pod fotele lub schowały się

w załomach firanek, wydając stłumione westchnienia, i znowu miałem wrażenie, że jestem sam w wielkim salonie.

Kolosalne organy we Fryburgu nie zdołałyby zabrznieć tak potężnie, jak ów fortepian pod dotknięciem *widzącego* (tak się nazywa członek klubu, który pozostaje trzeźwym do końca). Dźwięki drgały z taką siłą, że zdawało mi się, iż przeszywają mą pierś naksztalt strzał promienistych; po chwili czułem, jakby ta melodia wychodziła wprost ze mnie; palce moje poruszały się po nieistniejących klawiszach; wyskakiwały z nich dźwięki niebieskie i czerwone w postaci iskier elektrycznych; dusza Webera wcieliła się we mnie.

Skończywszy tę partję, nie przerywałem mych wewnętrznych improwizacyj w stylu niemieckiego mistrza i odczuwałem zachwyt poprostu niewypowiedziany; co za szkoda, że jakaś stenografia magiczna nie mogła utrwalić tych natchnionych melodyj, które ja sam tylko słyszeć mogłem i których nie waham się — to bardzo skromnie z mojej strony — postawić wyżej od arcydzieł Rossiniego, Meyerbeera, Felicjana Davida!

Po nieco konwulsyjnej początkowej wesołości nastąpił błogostan nieokreślony, spokój bez granic.

Znajdowałem się w tym szczęśliwym okresie działania haszyszu, który ludzie wschodni nazywają *kief*. Nie czułem mego ciała; spoidła materji i ducha rozwiązały się, i jedynie dzięki własnej

woli poruszałem się w środowisku, w którym nie napotykałem najmniejszego oporu.

Wyobrażam sobie, że tak poruszają się dusze w zaświatach, dokąd idziemy po śmierci.

Niebieskawa mgła, jakby świt elizejski lub refleks groty lazuruwej, tworzyła w pokoju szczególną atmosferę, w której drżały niepewnie nieokreślone zarysy; ta atmosfera, jednocześnie rześka i ciepła, wilgotna i wonna, ogarniała mnie, jak woda w kąpieli, niby pocałunkiem o upajającej słodyczy; gdy chciałem zmienić miejsce, pięściwe powietrze rozstępowało się przede mną tysiącem fal rozkosznych; słodkie omdlenie opanowało moje zmysły i złożyło mnie na sofie, na którą upadłem jak porzucone ubranie.

Zrozumiałem wówczas rozkosz, jakiej doświadczają, stosownie do swego stopnia doskonałości, duchy i anioły, przelatujące eter i niebiosy, i stało mi się nagle jasnym, czym może być wypełniona wieczność w raju.

W tej ekstazie nie było nic materialnego; żadne pragnienie ziemskie nie plamiło jej niepokalanej czystości. Nawet miłość sama nie mogłaby jej powiększyć — gdyby Romeo był haszyszystą, zapomniałby o Julji. Biedne dziecko, pochylone nad krzewami jaśminu, napróżno wyciągałoby swe ramiona alabastrowe w noc ciemną—Romeo nie wstąpiłby na drabinkę z jedwabiu, i chociaż jestem nazabój zakochany w tym aniele młodości i krasy, stworzonym przez Szekspira, muszę

wyznać, że najpiękniejsza dziewczyna z Werony w oczach haszyszysty nie przedstawia żadnego uroku, nie jest nawet tego warta, aby się dla niej z miejsca poruszyć.

Stąd też z całym spokojem patrzyłem na girlandę kobiet idealnie pięknych, które wieńczyły fryz swą boską nagością; prawda, byłem oczarowany, ale zachowywałem zupełną równowagę ducha; widziałem, jak połyskują aksamitne ramiona, jak skrzą się srebrzyste piersi, jak wykwitają drobne nóżki o stopach różowych, jak falują bujne biodra—i nie odczuwałem najmniejszego wzruszenia ani pokusy. Cudne zjawy, które odbierały spokój świętemu Antoniemu, nie miałyby nade mną żadnej mocy.

Jakimś cudem niepojętym po kilku minutach kontemplacji rozpływałem się w przedmiocie, na który patrzyłem, i z kolei sam stawałem się tym przedmiotem.

W taki sposób zmieniłem się w nimfę Syrinks, ponieważ fresk, w istocie, przedstawiał córkę Ladona, uciekającą przed Panem.

Doznawałem trwogi, jaka miotała biedną dziewczyną, i starałem się ukryć wśród fantastycznego sitowia, aby zmylić pogoń kozłonogiego potwora.

VII

Kief przechodzi w koszmar

Podczas mojej ekstazy Daucus-Carota wrócił do pokoju.

Usiadłszy jak krawiec lub jak pasza na swych korzeniach, zgrabnie poskręcanych, utkwił we mnie płomienne źrenice; dzióbem kłapał w sposób tak sardoniczny, a z całej jego karykaturalnej postaci bił taki blask szyderczego triumfu, że mimowoli zadrżałem.

Odgadując mój przestach, wił się i czynił coraz groźniejsze grymasy, a jednocześnie zbliżał się ku mnie w podskokach, jak kozioł zraniony lub jak kulawy, biegnący na drewnianej nodze.

Wtedy poczułem tuż przy mojem uchu zimny powiew, a głos, którego akcent był mi znany, chociaż nie umiałbym powiedzieć, do kogo on należał, mówił:

— Ten podły *Daucus-Carota*, który przepił własne nogi, ukradł ci głowę i na jej miejsce wsadził nie głowę osła, jak to czynił *Puck Bottomovi*, lecz głowę słonia!

To mnie zainteresowało; podszedłem do lustra i przekonałem się, że ostrzeżenie bynajmniej nie było fałszywe.

Można mnie było wziąć za jakiegoś bałwana indyjskiego lub jawańskiego: czoło miałem podniesione, nos, wydłużony w trąbę, zaginał się i opadał mi na piersi, uszy zwisały na ramiona, i nadomiar złego, byłem cały barwy indygo, jak błękitny bóg *Sziwa*.

Wściekły z rozpaczy, zacząłem gonić *Daucusa-Carotę*, który skakał i skrzeczał, i zachowywał się jak człowiek w najwyższej trwodze; udało

mi się go wreszcie złapać i zacząłem go tak mocno bić, że wkońcu oddał mi moją głowę, zawiniętą w chustkę.

Zadowolony z tego zwycięstwa, wracałem, by znów zająć swe miejsce na kanapie, lecz w tej chwili ten sam głosik nieznany rzekł:

— Strzeż się, jesteś otoczony wkoło nieprzyjaciółmi; niewidzialne potęgi starają się ciebie przyciągnąć ku sobie i zatrzymać. Jesteś tu więźniem: staraj się wyjść, a sam zobaczysz.

W moim umyśle jakby się nagle rozdarła zasłona: zrozumiałem, że członkowie klubu byli po prostu kabalistami lub czarownikami, którzy wciągnęli mnie tutaj, aby mnie zgubić.

VIII

Tread-Mill

Podniosłem się z wielkim trudem i skierowałem się ku wyjściu. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim dotarłem do drzwi salonu, albowiem jakaś nieznana siła kazała mi za każdym trzecim krokiem cofać się wstecz. Według moich obliczeń zużyłem na tę drogę dziesięć lat.

Daucus-Carota szedł za mną, śmiał się szyderczo i młamał z udaniem współczuciem:

— Jeżeli on iść będzie tak dalej, postarzeje się, zanim dojdzie.

Udało mi się wkońcu dotrzeć do sąsiedniego pokoju, którego rozmiary, miałem wrażenie, zmie-

niły się do niepoznania. Wydłużał się, wydłużał... w nieskończoność. Światło, błyszczące w końcu pokoju, zdawało się być tak odległe, jak jakaś gwiazda na horyzoncie.

;) Ogarnął mnie niepokój, i chciałem się już zatrzymać, gdy ów głosik zaczął mi szeptać do ucha, tak blisko, że czułem lekkie muśnięcie warg:

— Odwagil ona ma czekać na ciebie o jedynastej.

Z głębi rozpaczy zebrałem wszystkie swe siły i olbrzymim aktem woli zdołałem podnieść nogi, jakby przygwożdżone do ziemi—musiałem je poprostu wyrwać, jak się wyrwa drzewo z korzeniami. Potwór o nogach z mandragory szedł za mną i, parodjując moje wysiłki, śpiewał tonem jakiejś rozwlekłej psalmodji:

— Marmur sięga coraz wyżej! marmur sięga coraz wyżej!

Jakoż w istocie czułem, że moje kończyny kamienieją i marmur okrywa mnie do łędźwi, jak Dafne w Tuilerjach; byłem posągiem do połowy ciała, podobny do książąt zaczarowanych z Tyśiąca i Jednej Nocy. Stwardniałe stopy uderzały ze straszliwym łoskotem o podłogę: mógłbym był grać Komandora w *Don Juanie*.

Tymczasem dotarłem do schodów i starałem się zejść nadół; schody były słabo oświetlone i w półśnie wydawały mi się potwornie wielkie; obydwie ich końce, nurzające się w cieniu, sięgały w mojem przekonaniu nieba i piekła, dwie otchła-

nie—jedna u góry, druga u dołu; podniósłszy głowę, ujrzałem w jakiejś nieprawdopodobnej perspektywie nieskończony szereg schodów, spojrzawszy zaś wdół, przeczuwałem przepaście stopni, wiry spirali, kręcących się bez upamiętania.

— Te schody przebijają zapewne ziemię nawy-
lot—mówilem do siebie, idąc dalej machinalnie.—
Dojdę do końca chyba w dzień sądu ostatecznego.

Postaci z obrazów patrzyły na mnie, z politowaniem; niektóre z nich wily się w bolesnych łamańcach, jak ludzie niemi, pragnący krzyknąć komuś kilka słów ostrzeżenia w chwili najwyższego niebezpieczeństwa. Powiedziałby ktoś, że chcą mnie uprzedzić o jakiejś zasadzce, w którą dawałem się wciągać jakiejś sile bezwładnej i ponurej; schody były miękkie i ugiwały się pode mną, jak tajemnicze drabiny w godzinach próby adeptów wolnomularstwa. Kamienie miękkie i lepkie zapadały się jak brzuch ropuchy; nowe zakręty, nowe stopnie napotykały moje nogi zrozpaczone, a te, które już przeszedłem, na nowo, same przez się, rozkładały się przede mną.

Według moich obliczeń trwało to wszystko tysiąc lat.

Wreszcie znalazłem się w sieni, gdzie czekały mnie nowe męczarnie.

Chimera, trzymająca świecę w łapie, którą zauważyłem, wchodząc do tego domu, broniła mi przejścia w zamiarach widocznie wrogich; jej zielonawe oczy błyszczały ironją, jej usta przewrot-

ne śmiały się złośliwie; czołgała się ku mnie, wlokąc po ziemi swe cielsko z bronzu, lecz w postawie nie było nic z pokory; dzikie drgania poruszały jej zadem, a *Daucus-Carota* szczuła ją przeciw mnie, jak psa:

— Kąsaj! kąsaj! mięso z marmuru dla paszczy z bronzu—to uczta wspaniała!

Nie dając się nastraszyć tej groźnej bestji, szedłem dalej. Powiew zimnego powietrza uderzył mnie po twarzy i nagle ujrzałem niebo nocne bez chmur. Gwiazdy rozsypywały się złotym pyłem po żyłach tego wielkiego złomu lapis-lazuli.

Stałem na dziedzińcu.

Dziedziniec ów osiągnął tymczasem rozmiary Pola Marsowego i w kilka godzin otoczył się rzędem olbrzymich gmachów, które odrzynały się na horyzoncie koroną iglic, kopuł, wież, szczytów, piramid, godnych Rzymu lub Babilonu.

Zdumienie moje nie miało granic; nigdy nie przypuszczałem, że wyspa świętego Ludwika zawiera tyle wspaniałości monumentalnych, które zresztą mogły dwadzieścia razy pokryć jej przestrzeń rzeczywistą, i myślałem nie bez pewnej obawy o potęgę tych czarowników, którzy zdolali w ciągu jednego wieczora wznieść podobne budowle.

— Jesteś igraszką czczych złudzeń; to podwórze jest bardzo małe—szeptał głos—mierzy ono za-

ledwie dwadzieścia siedem kroków wzdłuż i dwadzieścia pięć wszerz.

— Tak, tak—mrucał widłowaty potwór—oczywiście, ale trzeba mieć siedmiomilowe buty. Nie uda ci się dojść na jedenastą; wyruszyłeś w drogę tysiąc pięćset lat temu. Połowa twoich włosów jest już siwa... Najmądrzej postąpisz, jeśli wrócisz na górę.

Ponieważ żadną miarą nie chciałem go usłużyć, wstrętne monstrum oplotło mnie swemi nogami, rękoma zaś schwyciło niby kleszczami i pomimo mojego oporu zmusiło mnie do ponownego wejścia na schody, gdzie doznałem tyle trwogi, i ku mojej wielkiej rozpaczycy spostrzegłem, że znajduję się zpowrotem na tej samej kanapie, z której z takim trudem udało mi się uciec.

Wówczas wszystko zawirowało mi w głowie—oszalałem.

Daucus-Carota skakał aż pod sufit i mówił:

— Głupcze, oddałem ci twoją głowę, lecz wprzódki łyżką wybrałem z niej mózg.

Ogarnął mnie smutek straszliwy, albowiem zmacawszy ręką czaszkę, poznałem, że jest otwarta—i straciłem przytomność.

IX

Nie wiercie zegarom

Odzyskawszy świadomość, zobaczyłem w pokoju pełno ludzi czarno ubranych, którzy podcho-

dzili do siebie z miną smutną i ściskali sobie ręce z melancholijną serdecznością, jak osoby, dotknięte wspólnem cierpieniem.

Mówili:

— Czas umarł; odtąd nie będzie już ani lat, ani miesięcy, ani godzin. Czas umarł—i my idziemy na jego pogrzeb.

• — Prawda, że był już bardzo stary, ale przyznam się, że nie oczekiwałem jeszcze tak rychłego końca; trzymał się cudownie jak na swój wiek—dorzucił jeden z żalobnych gości, w którym poznałem mego przyjaciela, malarza.

— Wieczność zużyła się, trzeba już było raz koniec położyć—odparł ktoś inny.

— Wielki Boże!—zawolałem, uderzony nagłą myślą—skoro niema już czasu, kiedyż będzie jedenasta godzina?...

— Nigdy—zakrzyknął grzmiącym głosem Dacus-Carota, nachylając ku mnie swą twarz i ukazując się w swej prawdziwej postaci. — Nigdy... Zawsze już będzie kwadrans po dziewiątej... Wskazówki zatrzymały się na tej minucie, kiedy czas przestał istnieć, a ty za karę będziesz musiał patrzeć na nieruchome wskazówki. Będziesz tak wstawał, chodził do zegara i wracał, aż póki nie zedrzesz swych pięt do samej kości.

Jakaś siłą wyższą popychany, odbyłem wskazaną drogę czterysta lub pięćset razy, wciąż patrząc na tarczę zegara z trwożnym niepokojem.

Daucus-Carota usiadł okrakiem na zegarze i wykrzywił mi się w przeraźliwych grymasach.

Wskazówki pozostawały nieruchome.

— Nędzniku! — zawolałem w najwyższej wściekłości — zatrzymałeś wahadło!

— Bynajmniej. Wahadło porusza się jak zwykle... lecz wpierv słońca upadną w proch, zanim ta strzałka stalowa posunie się o miljonową część milimetra.

— Oho! widzę, że czas już odegnąć złe duchy; zaczyna się spleen — rzekł **widzący**. — Spróbujmy trochę muzyki. Harfę Dawida zastąpi na ten raz fortepian Erarda.

I usiadłszy na taburecie, zaczął grać melodje żywe i wesołe.

To zdawało się źle oddziaływać na człowieka — mandragorę: miał, nił, bladł i wydawał jęki nieokreślone; wkońcu stracił wszelkie podobieństwo ludzkie i potoczył się po podłodze w postaci salsefinu o dwóch końcach.

Czar ustał.

— Alleluja! Czas zmartwychwstał — zawołały dziecinnie rozradowane głosy. — Idź i spójrz teraz na zegar!

Wskazówki oznaczały jedenastą.

— Pański powóz czeka nadole — oznajmił mi służący.

Sen skończył się.

Haszyszyści rozeszli się, każdy w swoją stronę, jak oficerowie po pogrzebie Malborough'a.

Ja zaś lekkim krokiem zeszedłem z tych schodów, które kosztowały mnie tylu wysiłków, i w kilka chwil potem znajdowałem się w swoim pokoju, wśród pełnej rzeczywistości; ostatnie mgły haszysz znikły.

Powrócił mi rozum albo raczej to, co nazywam rozumem, w braku innego określenia.

Byłem na tyle przytomny, że mógłbym opowiedzieć treść jakiejś pantomimy czy wodewilu albo podać wiersze z trzygłoskowemi rymami.



POWTÓRNE WCIELENIE

I

Choroba, która zwolna toczyła Oktawjusza de Saville, była dla wszystkich czemś niezrozumiałem. Nie leżał przecież w łóżku i wiódł zwykły tryb życia; niknął w oczach, chociaż nigdy się na nic nie skarżył. Badany przez lekarzy, do których zapędzała go troska krewnych i przyjaciół, nie zdradzał żadnego określonego cierpienia, i nauka nie umiała odkryć żadnego niepokojącego objawu: opukiwane płuca oddawały dźwięk zupełnie prawidłowy, a ucho, przyłożone do serca, z trudem chwytalo jakieś uderzenia nazbyt powolne lub zbyt przyspieszone; nie kaszlał, nie miewał gorączki, a życie od niego uciekało przez te niewidzialne szczeliny, których — jak powiada Terencjusz — jest pełno w ciele ludzkim.

Czasami wskutek dziwnej omdłałości stawał się blady i zimny jak marmur. Przez minutę lub dwie można go było uważać za umarłego; poczem wahadło, jakby zatrzymane tajemnym palcem, wyswobodzone, znów wracało do ruchu, i Oktawjusz budził się niby ze snu. Wysłano go do wód; lecz nimfy ciepłych źródeł nie zdołały mu pomóc. Po-

dobnie bez skutku pozostała podróż do Neapolu. Owo piękne i tak sławione słońce zdało mu się czarne, jakby ze sztychu Albrechta Dürera; nie-
toперz, mający na skrzydłach napis: *melancholja*,
trzepotał brudnymi błonami po tym promienistym
lazurze i zasłaniał mu światło; na Margellino, gdzie
półnaczy lazzaroni prażą się na słońcu, które po-
krywa ich skórę jakby powłoką z bronzu — Okta-
wusz trząsł się z zimna.

Wrócił tedy do małego mieszkanka przy
ulicy św. Łazarza i ponownie wszedł w swe daw-
ne przyzwyczajenia.

Apartament ów był urządzony z całą wygodą,
na jaką stać kawalerskie mieszkanie. Lecz ponie-
waż wewnątrz bierze na się zwolna fizjognomję,
a nawet wypełnia się myślą tego, kto je zajmuje,
mieszkanie Oktawjusza z biegiem czasu stało się
smutne.

Wielkie bukiety piwonij wędły na coraz mniej
białym tle tapet; złoto ram, otaczających kilka
akwarel i parę szkiców dawnych mistrzów, po-
czerniało pod powłoką bezlitosnego pyłu; onie-
śmielony piec wygasał i dymił wśród zwałów po-
piołu. Stary Boule, inkrustowany miedzią i szyld-
kretem, coraz ciszej powtarzał swoje tik-tak,
a głos nudnych godzin zmieniał się w szept, jak
w pokoju chorego; drzwi zamykały się bez szmeru,
a kroki rzadkich gości marły na miękkich ko-
biercach; śmiech nie wchodził do tych pokoi, przy

całym swym współczesnym przepychu — ponurych, zimnych i mrocznych.

Jan, służący Oktawjusza, wślizgiwał się jak cień, ze zmiataczką pod pachą, z tacą w ręku — gdyż pod wrażeniem panującej tu melancholji stracił swą dawną gadatliwość. Na ścianach, jako trofea, wisiały rękawice bokserskie, maski i flo-rety; łatwo jednak było zauważyć, że nie tknięto ich oddawna; książki, porzucone niedbale, zalegały na wszystkich sprzętach, jakgdyby Oktawjusz chciał tą machinalną lekturą uspić dręczące go myśli. Rozpoczęty list, którego papier już pożółkł, zdawał się od miesiący czekać, aby go dokończono, i leżał na biurku, jak niemy wyrzut. Chociaż zamieszkania, apartament ów tchnął pustką. Nie było w nim życia, i wchodząc, odczuwało się powiew zimnego powietrza, jakie wieje z otwartych grobów.

W tem ponurem mieszkaniu, gdzie kobieta nie stąpiła nawet końcem bucika — Oktawjusz czuł się lepiej, niż gdziekolwiek indziej — ta cisza, ten smutek, to opuszczenie odpowiadały mu w zupełności. Radosny zgiełk życia przerażał go zawsze, ilekroć starał się w nim utonąć; ze wszystkich balów maskowych, wieczorów, kolacyj, na które go zaciągnęli koledzy — wracał jeszcze bardziej posępny.

Przestał więc walczyć z tą tajemniczą boleścią i spędzał dni tak obojętnie, jak człowiek, który nie spodziewa się jutra. Nie wierząc w przyszłość, nie snuł żadnych planów i w cichości ofiarował

Bogu swe wyrzeczenie się życia, oczekując, rychłoli On przyjąć je raczy.

Wyobrażacie sobie zapewne postać wychudłą, o zapadłych policzkach, cerze ziemistej, członkach wynędzniałych—słowem, wielką ruinę zewnętrzną. Mylicie się zupełnie! Co najwyżej, można było zauważyć lekkie sińce pod oczami, nieznaczne zaczerwienienie dookoła orbit, pewne wycieńczenie skroni, pooranych błękitnymi żyłkami. Jedynie iskra duszy nie lśniła w oku, z którego uleciała wszelka wola, nadzieja i pragnienie. To martwe spojrzenie tworzyło dziwny kontrast do młodej twarzy i sprawiało bardziej bolesne wrażenie, niż jakaś wychudła maska o oczach, rozgorzałych gorączką zwyczajnej choroby.

Przedtem Oktawjusz był, co się nazywa, ładnym chłopcem, a pozostał nim jeszcze i teraz. Gęste czarne włosy zbierały się na skroniach w bujne loki, jedwabiste i lśniące; oczy długie, aksamitne, koloru nieba nocnego, obramione lukowatemi brwiami, zapalały się niekiedy jakąś wilgotną skrą; podczas spoczynku lub gdy nie ożywiała ich żadna namietność, oczy te odznaczały się owym niezmaconym spokojem ludzi wschodnich, gdy u drzwi kawiarni w jakiejś Smyrnie albo Konstantynopolu zapadają w kief, wypaliwszy nargile.

Oktawjusz nigdy nie miał żywej cery. Była to cera południowców, blado-oliwkowa, która czyni wrażenie dopiero przy świetle. Rękę miał zgrabną i wytworną, stopę wąską i wygiętą. Ubierał się

dobrze; nie wyprzedzał mody ani się jej nie opierał i doskonale umiał podkreślać swe przyrodzone zalety. Nie żywiąc ambicij dandysa lub gentlemanrider'a, mógł być pewnym, że nie doznałby odmowy, gdyby mu przyszła ochota zapisać się do Jockey-Clubu.

Czemże się więc działo, że człowiek młody, piękny, bogaty, mający tyle praw do szczęścia, stał się taki biedny i pożałowania godny? Mógłby ktoś powiedzieć, że Oktawjusz był zblazowany, że modne romanse napelniły jego mózg niezdrowymi myślami, że w nic nie wierzył, że z jego młodości i majątku, roztrwonionego w szalonych orgjach, pozostały jeno długi — lecz wszystkie te podejrzenia nie zawierają ani odrobiny prawdy.

Oktawjusz bardzo mało używał rozkoszy, tak, że nie mógł się niemi przesycić; nie cierpiał ani na spleen, ani na romantyzm, nie był ani ateuszem, ani wolnomyślnym, ani rozrzutnym; dotychczasowe jego życie poświęcone było nauce i rozrywkom, stosownym dla młodego wieku. Rano siadał na ławie Sorbony, a wieczorem wspinał się po schodach Opery, aby spoglądać na kaskadę toalet. Nie umianoby wskazać na jakiś jego stosunek z artystką lub księżniczką; zadawałniał się rentą, i fantazje jego nie nadgryzały kapitału — cieszył się szacunkiem swego reagenta. Co się tyczy przyczyny jego dziwnego stanu, który wprowadził w kłopot wiedzę lekarską, to była ona czemś tak nieprawdopodobnem w Paryżu dziewiętnastego

wieku, że nie ośmielamy się jej wymienić—niech raczej opowie o tem sam bohater.

Zwyczajni lekarze nie rozumieli jego choroby, ponieważ w amfiteatrach anatomji nie podejmowano dotychczas wiwisekcji duszy: zwrócono się tedy po ostateczną pomoc do niezwykłego lekarza, który właśnie wrócił po długim pobycie w Indjach i znany był z cudownych uzdrowień.

Oktawjusz, przeczuwając w nim jakąś wyższą przenikliwość, zdolną odgadnąć tajemnicę, obawiał się odwiedzin doktora i dopiero na usilne naleganie matki zgodził się przyjąć pana Baltazara Cherbonneau.

Gdy doktor wszedł, Oktawjusz leżał na kanapie: na jednej poduszce spoczywała głowa, na drugiej opierał się łokciem, trzecia przykrywała mu nogi; arabska gandura owijała go w miękkie i delikatne fałdy; czytał, a raczej trzymał książkę, gdyż oczy utkwione w stronicę nie rozróżniały liter. Twarz miał bladą, lecz jak powiedzieliśmy, nie było w niej żadnych zmian widocznych. Powierzchnowa obserwacja nie dostrzegłaby niebezpieczeństwa, grożącego temu młodzieńcowi, przy którym, zamiast flaszeczek, odwarów, lekarstw, stało na stoliku pudełko z cygarami. Rysy czyste, lubo nieco zmęczone, nie straciły nic ze swego wdzięku, i gdyby nie głęboka atonja i nieuleczalna rezygnacja w spojrzeniu, zdawałoby się, że Oktawjusz cieszy się doskonałym zdrowiem.

Pomimo całej swej obojętności Oktawjusz był

zaskoczony dziwaczny wyglądem doktora. Pan Baltazar Cherbonneau sprawiał wrażenie postaci z jakiejś fantastycznej opowieści Hoffmana, która przypadkiem zabłąkała się wśród rzeczywistości, zdumionej na widok tak zabawnej istoty.

Twarz, nadmiernie ogorzała, zdawała się być pochłoniętą przez ogromną czaszkę, którą brak włosów czynił jeszcze większą. Naga czaszka, wygładzona, jak kość słoniowa, zachowała kolor biały, gdy tymczasem twarz, wystawiona na działanie promieni słonecznych, przybrała barwę starego dębu lub zniszczonego portretu. Nierówności, wklęsłości i wypukłości odznaczały się tak silnie, że ta odrobina ciała, pokrywająca kości, podobna była ze swemi tysiącznemi fałdami do zwilżonej skóry, narzuconej na trupią czaszkę. Rzadkie szare włosy, rozpięchnięte po ciemieniu, zebrane w trzy skąpe kosmyki (dwa z nich opadały nad uszami, a trzeci tuż nad czołem), wieńczyły w sposób groteskowy tę fizjognomję dziadka do orzechów.

Co jednak naprawdę przykuwało—to oczy doktora. Wpółśród oblicza, steranego latami, spalonego przez rozżarzone słońce, zużytego w ciągu pracy, gdzie trudy nauki i życia zapisały się głębokimi brózdami — błyszczały dwie źrenice, jak turkus niebieskie, jasne, świeże, młode. Te gwiazdy niebieskie lśniły w głębi ciemnych orbit i błon koncentrycznych, których płowe kręgi przypominały nieco pióra, rozkładające się aureolą dokoła

żrenicy pułacza. Można było podejrzewać, że za pomocą czarów, przejętych od braminów i panditów, doktor skradł oczy jakiemuś dziecku i włożył je w głąb swej trupiej twarzy. Spojrzenie tego starca miało lat dwadzieścia.

Ubrany był w klasyczny strój lekarzy: surdut i spodnie z czarnego sukna, jedwabna kamizelka tego samego koloru, a w koszulę wpięty duży diament—dar jakiegoś radży lub nababa. Szaty powiewały na nim, jak na wieszadle, i układały się w pionowe fałdy, które doktor, siadając, rozbijał na ostre kąty. Nie samo chyba słońce Indyj było przyczyną tej chudości. Bez wątpienia, doktor Baltazar Cherbonneau, w celach wtajemniczenia, musiał się poddawać długim postom fakirów i razem z jogami leżał na skórze gazeli, między czterema płonącymi ogniskami. Lecz ten brak ciała bynajmniej nie był oznaką osłabienia.

Doktor usiadł na fotelu, który mu wskazał Oktawjusz, tuż obok kanapy, przyczem uczynił ruch, właściwy ludziom, nawykłym do siadania na matach. Pan Cherbonneau odwrócił się od światła, które padało na twarz chorego, ułatwiając badanie, zwłaszcza, że doktor pragnął widzieć jak najwięcej i jednocześnie samemu nie być obserwowanym. Oktawjusz zauważył skrzywienie się dziwnych źrenic niebieskich, które miały w sobie coś z ciał fosforyzujących; wytryskał z nich promień ostry i jasny, a chory brał go w siebie peł-

na piersią, doznając lekkiego klucia i ciepła, jak po zażyciu emetyku.

Doktor milczał chwilę, jakby rozmyślał nad wynikiem swej błyskawicznej obserwacji, wreszcie rzekł:

— Widzę już, że nie zachodzi u pana wypadek pospolitej patologji. Nie cierpi pan na żadną z tych chorób skatalogowanych, o znanych objawach, które lekarz usuwa lub obezwładnia. Pogawędź tedy z panem parę minut, poczem nie wezmę papieru, nie napiszę żadnej formułki, opatrzonej znakiem hieroglificznym, i nie każę posłać pańskiego służącego do narożnej apteki.

Oktawjusz uśmiechnął się słabo, jakby dziękując panu Cherbonneau, że mu oszczędza zbytecznych i przykrych lekarstw.

— Ale niech się pan tak zaraz nie cieszy—mówił doktor. — Skoro niema pan ani hipertrofji serca, ani gruźlicy, ani rozmiękczenia mózgu, ani gorączki tyfoidalnej—z tego jeszcze nie wynika, że jest pan zdrow zupełnie. Proszę mi podać rękę.

Sądząc, że pan Cherbonneau chce z zegarkiem w rękę zbadać puls, Oktawjusz odwinął fałdy gandury, odsłonił napięstek i wyciągnął machinalnie rękę w stronę doktora. Lecz pan Cherbonneau nie szukał wielkim palcem owych drżeń szybkich lub powolnych, które wskazują, czy zegar życia idzie prawidłowo. Ujął cienką, poznańczoną żyłkami, wilgotną rękę młodego człowieka w swą brunatną łapę, której kościste palce po-

dobne były do kleszczów kraba, dotykał jej, miał, gniótl, jakby chciał nawiązać magnetyczny kontakt ze swym pacjentem. Oktawjusz pomimo całej nieufności do medycyny nie mógł się oprzeć pewnemu wzruszeniu, albowiem zdawało mu się, że doktor tem dotknięciem wyprowadza jego duszę z ciała.

— Drogi panie Oktawjuszu—ozwał się lekarz, puszczając rękę młodzieńca—stan pański jest bardziej poważny, niż się pan sam domyśla, i wiedza, przynajmniej ta, na której opiera się stara rutyna europejska, nie pomoże tu nic; nie ma pan woli życia i dusza pańska nieznacznie wymyka się z ciała. Nie ma pan ani hipochondrji, ani lypemanji, ani obłądu samobójczego. Nie. Rzadki i ciekawy wypadek. Mógłby pan umrzeć bez żadnej widocznej przyczyny wewnętrznej lub zewnętrznej. W porę mnie pan wezwaleś, albowiem duch trzyma się ciała już tylko jedną nicią, lecz my go jeszcze przywiążemy mocnym węzłem.

I doktor wesoło zatarł ręce, siląc się na uśmiech, który poruszył tysiączne zmarszczki na jego twarzy.

— Panie Cherbonneau, ja nie wiem, czy pan mnie uleczy, i zresztą nie mam do tego najmniejszej ochoty, wszelako przyznać muszę, że odrazu odgadłeś pan przyczynę tajemniczego stanu, w którym się znajduję. Zdaje mi się, że ciało moje stało się dziurawe i jaźń moja wycieka, jak woda przez sito. Czuję, jak rozpływam się w wielkim

wszechświecie, i z trudem odróżniam siebie od tego środowiska, w którym się pograżam. Życie wydaje mi się takie odległe ode mnie, że nieraz mam wrażenie, jakbym już wyszedł poza sferę ludzką; chodzę i poruszam się jak dawniej, lecz jakbym nie brał udziału w tem, co robię. Siadam do stołu o zwykłej porze i zdaje się, że jem i piję, chociaż nie czuję żadnego smaku w potrawach, najlepiej przyrządzonych, i w najmocniejszych winach. Światło słońca wydaje mi się blade, jak światło księżyca, a świece mają czarne płomienie. Zimno mi w najgorętsze dni lata. Czasami zalega we mnie cisza, jakgdyby moje serce przestało bić i jakgdyby maszyna wewnętrzna zatrzymała się z niewiadomego powodu.

— Pan cierpi — odparł doktor — na chroniczną niemożność życia, chorobę moralną i bardziej częstą, niż się to wydaje. Myśl jest siłą, która może zabić równie dobrze, jak kwas pruski, jak iskra z butelki lejdejskiej, chociaż śladów jej spustoszeń niepodobna dojrzeć zapomocą słabych środków analizy, jakiemi rozporządza zwyczajna wiedza. Jakiż to smutek zapuścił swój krzywy dziób w pańską wątrobę? Z wyżyn jakiej ambicji spadłeś pan rozbity i poszarpany? Czy kobieta pana zdradziła?

— Nie, doktorze — odpowiedział Oktawjusz — nawet tego szczęścia nie miałem.

— A jednak — rzekł pan Baltazar Cherbonneau — w pańskich zamglonych oczach, w onieśmielo-

nych ruchach ciała, w głuchym dźwięku głosu czytam tytuł jednej sztuki Szekspira tak jasno, jakby był wypisany złotem literami na skórzanym grzbiecie książki.

— Jakaż to sztuka, którą bezwiednie tłumaczę?
— zapytał Oktawjusz, w którym mimowolnie zbudziła się ciekawość.

— *Love's labours lost*—rzekł doktor z taką czystością akcentu, jakiej mógł nabyć jedynie w czasie długiego pobytu w Indjach angielskich.

— To znaczy, jeśli się nie mylę: *Stracone zachody miłości*.

— Właśnie.

Oktawjusz nic nie odpowiedział. Lekki rumieniec zabarwił jego policzki, i aby pokryć zmieszanie, zaczął się bawić węzłem sznura, którym był przepasany. Doktor założył nogę na nogę, co wywołało wrażenie skrzyżowanych piszczeli, tak, jak je przedstawiają na grobowcach—i ręką przytrzymywał nogę zwyczajem wschodnim. Niebieskie oczy zanurzały się w oczach Oktawjusza i pytały go spojrzeniem władczem a łagodnem.

— Niech mi pan duszę otworzy. Jestem lekarzem dusz. Pan jesteś moim pacjentem i, jak kapłan katolicki penitenta, wzywam pana do szczerej i zupełnej spowiedzi, a możesz jej dokonać, nie klękając przede mną.

— Poco? Przypuśćmy, żeś pan zgadł, to czyż opowiadanie o mym bólu przyniesie mi ulgę?

Mój smutek nie jest gadatliwy. Żadna siła ludzka, nawet pan, nie może mnie uleczyć.

— Kto wie—rzekł doktor, układając się w fotelu bardziej kwadratowo, jak ten, co się przygotowuje do wysłuchania dłuższych zwierzeń.

— Nie chcę—odparł Oktawjusz—abyś mnie pan posądzał o dziecinny upór, i nie chcę, aby przez moje milczenie zrzucił pan z siebie odpowiedzialność za moją śmierć. Ponieważ pan tego żąda, opowiem moją historję: odgadł pan istotę rzeczy, nie mogę panu odmówić szczegółów. Niech się pan nie spodziewa czegoś niezwykłego lub romantycznego. To historia bardzo prosta, bardzo zużyta, lecz—jak powiada piosenka Heinego—ten, komu się ona przydarzy, patrzy na nią, jak na coś nowego, i serce mu pęka. W istocie, wstyd mi opowiadać coś tak pospolitego człowiekowi, który żył w krajach najbardziej bajecznych i najbardziej chimerycznych.

— Niech się pan nie obawia. Dla mnie jedynie rzeczy codzienne są nadzwyczajnością—rzekł doktor z uśmiechem.

— A więc, doktorze, umieram z miłości.

II

Byłem we Florencji z końcem lata r. 184* w najpiękniejszej dla Florencji porze. Miałem dużo czasu, pieniędzy, listów polecających i byłem wówczas młodzieńcem wesolym, który pragnął

tylko się bawić. Osiedliłem się na Lung-Arno, wynająłem powóz i dałem się unieść życiu florenckiemu, które ma tyle uroku dla cudzoziemca. Rankiem zwiedzałem jakiś kościół, pałac lub galerję, zależnie od humoru, bez pośpiechu. Raz oglądałem odrzwia brązowe baptysterjum, to znów Perseusza Benwenuta Celliniego w Loggia dei Lanzi, portret Fornariny w Uffizzi albo Venus Canovy w pałacu Pittich, lecz nigdy więcej, jak jedną rzecz naraz. Poczem w kawiarni Doney podawano mi filiżankę kawy mrożonej, wypalałem, kilka cygar, przerzucałem dzienniki i wracałem do domu na siestę z butonierką pełną kwiatów, przemocą wetkniętych mi przez jedną z tych ładnych kwiecieciarek, ubranych w wielkie słomiane kapelusze, a stojących u wejścia do kawiarni; o trzeciej zajeżdżał powóz i zabierał mnie do Cascine.

Cascine są dla Florencji tem, czem lasek Bułoński dla Paryża, z tą różnicą, że tam wszyscy się znają i że jest to jakby salon na świeżem powietrzu, gdzie zamiast fotelów są powozy, które się ustawiają w półkole. Kobiety w przepysznych toaletach, wódlężąc na poduszkach, przyjmują wizyty kochanków i adoratorów, dandysów i członków poselstwa, którzy stoją u drzwi powozów z kapeluszem w ręku.

Ale pan to zna równie dobrze, jak ja.

Tam uклада się plany na wieczór, umawia się na rendez-vous, oddaje się odpowiedzi, odbiera się zaproszenia. Jest to jakby giełda rozkoszy,

otwarta od trzeciej do piątej, w cieniu cudnych drzew, pod najśladzszym na świecie niebem. Obowiązkiem każdej istoty bodaj trochę dobrze sytuowanej, jest być codziennie w Cascine. Starałem się, aby mnie tam nie brakło, a wieczorem, po obiedzie, odwiedzałem parę salonów lub szedłem do Pergoli, jeśli występowała tam jakaś ciekawa śpiewaczka.

W taki sposób spędziłem jeden z najszcześniejszych miesięcy w życiu. Lecz szczęście to nie miało trwać długo.

Wspaniała karetta pojawiła się pewnego dnia w Cascine. Ten przepyszny wytwór fabryki wiedeńskiej, arcydzieło Laurenziego, połyskujący lśniącym werniksem, ozdobiony herbem prawie królewskim, był zaprzągnięty w najpiękniejszą parę koni, jaka kiedykolwiek stapała po Hyde-Parku; prowadził ją w sposób zupełnie doskonały młodziutki dżokej, w spodniach z białej skóry i w zielonym kaftanie; uprzęż, koła, klamki u drzwi-
czek jaśniały jak złote i na słońcu ciskały snopy błyskawic. Wszystkie oczy biegły za tym rozkosznym ekwipażem, który, zakreśliwszy na piasku półkole tak wierne, jakby cyrklem wyrysowane, złączył się ze stojącymi powozami.

Jak się pan może domyślać, karetta nie była pusta; lecz w szybkim ruchu niepodobna było rozróżnić nic więcej, jak końce bucika, wyciągniętego na przednią poduszkę, szeroką fałdę szala i krąg parasolki, obramionej białym jedwabiem. Parasol-

ka się zamknęła i na oczach wszystkich rozkwitła kobieta niezrównanej piękności.

Jechałem konno i mogłem stanąć dość blisko, aby nie uronić z tego arcydzieła ludzkiego ani jednego szczegółu. Nieznajoma miała suknię koloru wody morskiej, przetykaną srebrem, w której każda kobieta, o ile nie posiada cery nienagannej, wydaje się poprostu czarną; była to zuchwałość blondynki, zupełnie pewnej siebie. Wielki biały szal z chińskiego jedwabiu, ozdobiony haftem tejże barwy, osłaniał ją miękką draperją, układającą się w łagodne fałdy, jak tuniki w rzeźbach Fidjasza. Twarz otaczał aureolą kapelusz z najwytworniejszej słomki florenckiej, ozdobiony niezabudkami i delikatnymi roślinami wodnymi o cienkich modrych liściach; jedyny klejnot — złota jaszczurka, osypana turkusami — otaczała ramię, które trzymało rączkę parasolki z kości słoniowej.

Niech mi pan wybaczy, drogi doktorze, ten opis jakby z żurnalu, albowiem dla kochanka te drobne wspomnienia posiadają znaczenie wprost olbrzymie. Ciężkie, kręcące się zwoje blond włosów, których pierścienie były podobne do fal światła, ujęte w luźną siatkę, opadały z dwóch stron na czoło, bielsze i czystsze niż dziewiczy śnieg, który nocą spada na szczyty Alp. Rzęsy, długie i cienkie, jak te nici złote, któremi minjaturzyści średniowieczni opromieniali głowy swoich aniołów — przesłaniały do połowy jej oczy zielononiebieskie, podobne do owych błysków, biegną-

cych po lodowcach, dzięki pewnym efektom słońca; usta jej, bosko narysowane, miały te odcienie purpurowe, które widuje się na skorupach muszli Wenery, a policzki jej przypominały lęдлиwe białe róże, które się rumienia pod pocałunkiem motyla lub gdy słuchają wyznań słowika; żaden pendzel ludzki nie potrafiłby oddać tej płci o słodyczy, świeżości i przejrzystości poprostu niematerjalnej; zdawało się niepodobieństwem, aby te barwy zawdzięczały swe powstanie tej samej krwi, która płynie w naszych żyłach.

) Pierwsze róże jutrzeńki na szczycie Sierra Nevada, cielisty ton pewnych gatunków białej kamelji u nasady płatków, marmur paryjski, widziany przez zasłonę z różowej gazy—mogą jedynie dać o tem oddalone pojęcie. Część szyi, którą można było dojrzeć między kresami kapelusza a szalem, lśniła tęczową białością—kontury miały błędne refleksy opalu. Ta cudna głowa nie zachwycała jedynie rysunkiem, lecz przede wszystkim kolorytem, podobnie jak piękne dzieła szkoły weneckiej—choć jej rysy były tak czyste i tak wytworne, jak profile starożytnych kamei, rżniętych w agacie.

Podobnie jak Romeo zapomniał o Rozalindzie na widok Julji, ze zjawieniem się tej nieziemskiej piękności zapomniałem o wszystkich mych dawnych miłostkach. Karty mojego serca stały się znów białe: znikło z nich wszelkie imię, wszelkie wspomnienie. Nie rozumiałem, jak mogłem widzieć pe-

wien powab w tych pospolitych związkach, których unika tylko bardzo niewielu młodych ludzi, i wyrzucałem je sobie, niby świadomą zdradę. Nowe życie zaczęło się dla mnie od tego fatalnego spotkania.

○ Karetą opuściła Cascine i zawróciła w stronę miasta, unosząc oślepiające zjawisko. Zrównałem swego konia z koniem pewnego młodego Rosjanina, człowieka bardzo milego, który jeździł do wszystkich wód, bywał we wszystkich kosmopolitycznych salonach Europy i znał nawylot cały podróżujący high-life. Skierowałem rozmowę na cudzoziemkę i dowiedziałem się, że była to hrabina Praskowja Łabińska, Litwinka, znakomitego rodu i wielkiej fortuny, której mąż od dwóch lat brał udział w wojnie kaukaskiej.

Zbytecznem panu opowiadać, jakiej chwyciłem się dyplomacji, aby zostać przyjętym przez hrabinę, która z powodu nieobecności hrabiego była nader powściągliwą w nawiązywaniu nowych znajomości. Wkońcu zostałem dopuszczony. Dwie księżny wdowy i czterech podstarzałych baronów ręczyło za mnie swą starożytną cnotą.

Hrabina Łabińska odnajmowała wspaniałą willę, która niegdyś należała do Salvatic, o pół mili od Florencji, i w kilka dni zdołała wprowadzić cały komfort współczesny do starego dworzyszczu, w niczem nie naruszając jego surowej piękności i poważnej elegancji. Wielkie portjery herbowne upinały się doskonale na łukowatych

arkadach; fotele i meble o kształtach starożytnych harmonizowały ze ścianami, pokrytymi ciemną boazerją lub freskami o tonach wyblakłych, jak stare obicia; oka nie razila ani jedna barwa zbyt świeża, ani jedno złocone zbyt błyszczące, i terazniejszość nie tworzyła dysonansu obok przeszłości. Hrabina do tego stopnia przypominała dawne kasztelanki, że zdawało się, iż pałac ten zbudowano właśnie dla niej.

Jeżeli byłem oczarowany promienną urodą hrabiny, to czar jeszcze bardziej się zwiększył po kilku wizytach, pod wpływem jej wyjątkowego umysłu, tak wytwornego i wszechstronnego. Ilkroć mówiła o czemś zajmującym, duszę, że tak powiem, czuło się pod skórą, dusza jej stawiała się poprostu widzialną. Gwarz jej rozjaśniała się promieniem wewnętrznym, jak lampa z alabastru; drgały w niej jakieś lśnienia fosforyczne, owe drżenia świetlne, o których mówi Dante, kiedy maluje przepych raju; patrząc na nią, miało się wrażenie, że to anioł, rysujący się na jakimś słońcu.

Byłem olśniony, w ekstazie, w odrętwieniu. Pograżony całkowicie w rozważaniu jej piękności, porwany dźwiękiem jej niebiańskiego głosu, który z każdego słowa tworzył muzykę niewysłowioną—w chwili, kiedy miałem coś odpowiedzieć, jękałem się, mamrotałem kilka wyrazów bez związku, co musiało w niej ustalić jak najgorsze mniemanie o mej inteligencji. Czasem nawet nieuchwy-

ny uśmiech przyjaznej ironji przelatywał jak różowy błysk po tych wargach uroczych, zwłaszcza, gdy wypowiadałem jakieś zdanie, świadczące o głębokiem zmieszaniu lub nieuleczalnej głupocie.

Nie mówiłem jej jeszcze nic o swej miłości. Wobec niej byłem bez myśli, bez siły, bez odwagi; serce mi biło, jakby chciało wyskoczyć z piersi i upaść na kolana swej pani. Dwadzieścia razy chciałem wyznać wszystko, lecz powstrzymywała mnie nieprzezwykła nieśmiałość; najłżejszy chłód lub zbyt spokojny ton hrabiny wprawiał mnie w drżenie śmiertelne; byłem jak skazaniec, który z głową, na kłocu złożoną, oczekuje na nieocfiony błysk toporu. Dławiły mnie nerwowe skurcze, ciało moje oblewał zimny pot. Rumieniłem się i bladłem i, nie powiedziawszy nic, wychodziłem, nie mogąc znaleźć drzwi i zataczając się na schodach, jak człowiek pijany.

Kiedy już byłem poza domem, zdolności moje wracały i puszczałem na wiatr najbardziej płomienne dytyramby. Wygłaszałem przed nieobecnem bóstwem tysiące oświadczeń o nieodpartej wymowie. W tych niemych apostrofach równałem się z wielkimi poetami miłości.

Salomonowa Pieśń nad Pieśniami, z jej zawrotną wonią wschodnią i przepojonym haszyszem liryzmem, sonety Petrarki, pełne platonicznych subtelności i eterycznie delikatne, Intermezzo Henryka Heinego z całą swą nerwową i szaloną zmysłowością są dalekie od tych nieprzebranych wy-

lewów duszy, w które kładłem całe swoje życie. Pod koniec każdego z tych monologów zdawało mi się, że hrabina, ulegając mym zakłębciom, powinna zejść z nieba i pochylić ku mnie głowę; nieraz krzyżowałem ręce na piersiach, jakbym ją miał uścisnąć.

Byłem tak zupełnie opętany, że godzinami, jak litanję, powtarzałem te dwa słowa: Praskowja Łabińska—odnajdując czar nieokreślony w tych zgłoskach, które czasem rozsypywałem zwolna, jak perły, czasem znów wypowiadałem z gorączkową szybkością człowieka, którego własna modlitwa wprawia w zachwycenie. Kiedy indziej pisałem ubóstwiane imię na najpiękniejszych kartach welinowych, zdobiąc je wyszukaną kaligrafią rękopisów średniowiecznych, oplatając w smugi złote, kwiaty lazuruowe, gałązki zielone. Spędzałem nad tą robotą długie godziny, dzielące mnie od wizyty w willi Salviatic.

Nie mogłem nic czytać, ani nic robić. Nic poza Praskowją mnie nie zajmowało i nie otwierałem nawet listów, które mi przysyłało z Francji. Kilkakrotnie czyniłem usiłowania, aby wyjść z tego stanu; starałem się przypomnieć sobie zasady uwodzenia, stosowane przez młodych ludzi, zabiegi, któremi się posługują Valmontowie z kawiarni paryskich i Don Juani z Jockey-Clubu. Lecz do ich wykonania brakło mi odwagi i żałowałem, że nie posiadam, jak Julian Sorel u Stendhala, goto-

wych wzorków, z którychbym odpisywał listy i pisał je hrabinie.

Wystarczało mi, że kocham, i oddawałem się całkowicie, nie wzamian nie żądając, bez odległej choćby nadziei, albowiem w najśmielszych marzeniach odważałem się zaledwie dotknąć ustami końca różowych palców Praskowji. W XV w. młody nowicjusz z czołem na stopniach ołtarza, rycerz, klęczący w twardej zbroicy, nie mieli więcej balwochwalczej czci dla madonny...

Pan Baltazar Cherbonneau słuchał Oktawjusza z wielką ciekawością, albowiem opowiadanie młodego człowieka nie było dlań jedynie romantyczną historją, i podczas przerwy rzekł jakby sam do siebie:

— Tak, oto diagnoza namiętnej miłości, choroby bardzo dziwnej, którą widziałem raz tylko — w Chandernagor — u pewnej młodej parjaski, rozkochanej w braminie: biedna dziewczyna przypłaciła to życiem, ale to była dzikuska; pan zaś, panie Oktawjuszu, jesteś człowiekiem cywilizowanym, i my pana uleczymy.

Zamknawszy swój nawias, dał znak ręką panu de Saville, aby mówił dalej i, zgiąwszy nogę, jak łapę jaszczurki, w taki sposób, że kolanem podpierał brodę, pozostał w tej pozycji, snąć szczególnie dlań wygodnej.

Oktawjusz mówił dalej:

— Nie chcę pana nużyć szczegółami mej męki tajemnej i przystąpię do sceny rozstrzygającej.

Pewnego dnia, nie mogąc opanować żądz ujrzenia hrabiny, przyszedłem wcześniej niż zwykle. Pogoda była burzliwa, powietrze ciężkie.

Nie zastałem pani Łabińskiej w salonie. Przeniosła się na krużganek, podtrzymywany przez smukłe kolumny, prowadzący na terasę, którą schodziło się do ogrodu. Kazała tam przynieść fortepian, kanapę i kilka krzeseł wyplatanych; żardynierki, pełne cudnych kwiatów — nigdzie nie są one tak świeże ani tak pachnące, jak we Florencji — stały między kolumnami i nasycały swą wonią rzadkie powiewy, idące z Apeninów. Przez arkady widziało się cisy i strzyżone bukszpany ogrodu, z którego wznosiło się w górę kilka cyprysów stuletnich i który zaludniały marmury mitologiczne w spaczonym guście Baccia Bandinelli i Ammanata. W głębi, ponad sylwetą Florencji, rozpiną się kopuła Santa Maria del Fiore i strzelała czworoboczna wieżyca Palazzo Vecchio.

Hrabina była sama, siedziała, wpołleżąc, na kanapie trzcinowej. Nigdy nie wydawała mi się tak piękną; jej ciało niedbałe, omdłałe od gorąca, pławilo się jak nimfa morska w białej pianie obszernego penjuaru z indyjskiego muślinu; od góry do dołu biegła zmarszczona frendzla, niby srebrna grzywa fali; broszka ze szmelcowanej stali koraskańskiej spinała na piersiach tę szatę, równie lekką, jak draperja, która powiewa dokoła Nike, zawiązującej sandały.

Z rękawów, otwartych u łokcia, niby słupki z kielicha kwiatu wynurzały się ramiona o tonie bardziej czystym niż alabaster, w którym rzeźbiarze florency wykuwają kopje posągów starożytnych; szeroka czarna wstążka, związana u pasa, odrzynała się silnie na tle tej białości. Wszystko, co ten kontrast odcieni, właściwych żalobie, mógł mieć smutnego, rozweselał koniec małego pantofelka czerkieskiego, bez obcasów, z niebieskiej skóry, z wyciśniętymi żółtymi arabeskami, który wywijał się z ostatniej fałdy muślinu.

Jasne włosy hrabiny tworzyły jakby nimb, którego światło drgało iskierkami złota.

Kolo niej, na krześle, trzepotał się duży kapelusz z różowej słomki, ozdobiony długimi czarnymi wstążkami, podobnymi do tej, którą miała przy sukni, i leżała para rękawiczek szwedzkich, ani razu jeszcze nie używanych. Na mój widok Praskowja zamknęła książkę, którą czytała—poezje Mickiewicza—i powitała mnie życzliwym skinieniem głowy. Była sama—sposobność rzadka i pomyslna.

Usiadłem naprzeciw niej na krześle, które mi wskazała. Milczenie, jedno z tych najnieznośniejszych, panowało między nami kilka minut. Nie mogłem znaleźć żadnej z tych banalności, którymi można zacząć rozmowę. Szumiało mi w głowie, błędne ognie podnosiły się z serca do oczu i miłość moja wołała:—„Nie trać tej jedynej sposobności.“

Nie wiem, cobym uczynił, gdyby hrabina, odgadując powód mego zmieszania, nie wstała i nie wyciągnęła ku mnie swej pięknej ręki, jakby mi chciała zamknąć usta.

— Proszę nie mówić, Oktawjuszu. Pan mnie kocha: ja to wiem, ja to czuję. Nie czynię panu wyrzutów, albowiem miłość jest bezwolna. Inne kobiety, bardziej surowe, czułyby się tem obrażone; ja się nie skarżę, albowiem nie mogę pana kochać, i smutno mi, że staję się pańskim nie-szczęściem. Żałuję, że mnie pan spotkał, i przeklinam kaprys, który mi kazał opuścić Wenecję i przyjechać do Florencji. Z początku miałam nadzieję, że mój nieprzejeđnany chłód znuży pana i oddali; lecz prawdziwa miłość, której wszystkie znamiona widzę w pańskich oczach, niczem się nie zraża. Niechaj moja łagodność nie obudzi w panu żadnych złudzeń, żadnego marzenia, i proszę nie brać litości za zachętę. Anioł z puklerzem diamentowym, z mieczem płomiennym, broni mnie przed wszelką pokusą, lepiej niż religja, lepiej niż obowiązek, lepiej niż cnota — a tym aniołem jest moja miłość: ubóstwiam hrabiego Łabińskiego. Przypadło mi w udziale szczęście znaleźć gorącą miłość w małżeństwie.

Potok łez trysnął z pod moich powiek na to wyznanie, tak szczere, tak rzetelne i tak szlachetnie wstyđliwe, i poczułem, jak łamie się we mnie siła życiowa.

Praskowja, wzruszona, wstała i cudnym gestem

litości niewleśkiej przesunęła batystową chustką po moich oczach.

— Proszę nie płakać—rzekła—zabraniam panu. Niech pan stara się myśleć o czem innem, niech pan sobie wyobrazi, że wyjechałam na zawsze, że umarłam; niech pan o mnie zapomni. Niech pan podróżuje, pracuje, czyni dobrze, bierze gorący udział w życiu ludzkim; niech się pan pocieszy jakąś sztuką lub miłością..

Uczynilem ruch przeczący.

— Czy zdaje się panu, że będzie pan mniej cierpiał, widując mnie nadal? — zapytała hrabina. — Dobrze. Niech pan przychodzi. Przyjmę pana zawsze. Bóg mówi, że trzeba przebaczać nieprzyjaciółom, dlaczegożbyśmy mieli gorzej odnosić się do tych, co nas kochają? Jednak nieobecność wydaje mi się pewniejszym lekarstwem. Za dwa lata będziemy mogli uścisnąć sobie ręce bez niebezpieczeństwa — dla pana — dodała, usiłując się uśmiechnąć.

Nazajutrz wyjechałem z Florencji. Lecz ani nauka, ani podróże, ani czas nie zmniejszyły mego cierpienia—i oto czuję, że umieram. Niech mi pan nie przeszkadza, doktorze!

— Czy widział pan jeszcze potem hrabinę Praskową Łabińską? — zapytał doktor, którego niebieskie oczy dziwnie błyszczały.

— Nie, ale ona jest w Paryżu.

I podał panu Baltazarowi Cherbonneau kartę, na której wykaligrafowano:

„Hrabina Praskowja Łabińska przyjmuje we czwartki“.

III

Wśród dość rzadkich wówczas przechodniów, którzy zdążali na Pola Elizejskie przez avenue Gabriel, od ambasady ottomańskiej aż do Elysée Bourbon, przenosząc nad tuman kurzu i elegancki hałas wielkiej drogi samotność, ciszę i spokojną świeżość tej ulicy, obramionej z jednej strony drzewami, a z drugiej — ogrodami, niewiele było takich, coby się nie zatrzymali z uczuciem podziwu i zazdrości przed poetycznym i tajemniczym domem, gdzie — rzecz niezwykła — bogactwo zdawało się gościć szczęście.

Komuż nie zdarzyło się stanąć przed sztachtami parku, patrzeć długo na białą willę poprzez kłębowiska zieleni i odchodzić z ciężkiem sercem, jakgdyby sen życia ukryty był za temi murami? Przeciwnie, inne domy, widziane z zewnątrz, napawają człowieka nieokreślonym smutkiem; nuda, opuszczenie, beznadziejność powlekają fasadę szarą barwą i pod ich tchnieniem żółkną napółłyse szczyty drzew; posagi, pokryte trądem mchu, kwiaty zwiędłe, woda w sadzawce zielona, chwasty, zarastające ścieżki; ptaki, jeśli tam są, milkną.

Ogrody wzdłuż alei oddzielone były od niej rowem i ciągnęły się mniej lub więcej szeroko wstęgą aż do domów, których fasada wychodziła na przedmieście św. Honorjusza. Ten, o którym

mowa, otoczony był murem z dużych głazów, wybranych jakby umyślnie dla dziwnej nieregularności kształtów; mur, wznosząc się z każdej strony na podobieństwo kulis, osłaniał ciemną masą świeży i zielony krajobraz.

W załomach tych skał kaktus, tojeść, dziurawiec, łomikamień, zwiesieniec, rozchodnik, bluszcz irlandzki znajdowały dość ziemi żywiącej, aby zapuścić korzenie, i rysowały swą różnorodną zielenią na potężnem tle kamieni.

Boczne mury, zamykające ten raj ziemski, ginęły pod zasłoną pnących roślin, i dzięki temu ogród zdawał się być podobnym do leśnej polany raczej niż do kawałka ziemi, ujętego w więzy cywilizacji. Nieco w tyle poza masą skał stała grupa drzew o pniach wytwornych i rozłożystych konarach. Poza drzewami rozścielał się gazon, zarosły angielską trawą, której ani jedno źdźbło nie wystawało ponad drugie, gazon bardziej delikatny, bardziej miękki, niż aksamitny płaszcz królowej, o tym idealnie szmaragdowym odcieniu, jaki spotyka się tylko w Anglii przed dworami feudalnymi — puszyste dywany naturalne, które pieszczą oko i których noga nie waży się deptać.

W jednym końcu gazonu, w czasie, kiedy rozgrywa się ta historia, wybuchał istny ogień jakby sztucznych kwiatów, stworzony przez pęki geranium, których szkarłatne gwiazdy płonęły na ciemnem tle ziemi.

Elegancka fasada pałacu zamykała perspektywę.

Smukłe jońskie kolumny, podtrzymujące attykę, na której obu rogach stały wdzięczne grupy marmurowe, nadawały mu pozór świątyni greckiej, przeniesionej tu kaprysem jakiegoś magnata, a wnosząc z sobą tchnienie poezji i sztuki, zacierają wszelki nadmiar przepychu.

Kiedy kapryśne niebo paryskie raczyło rozpostrzeć nad tem palazzino zasłonę z lazuru, kontury rysowały się wśród zieleni tak cudnie, że można było ten dom wziąć za mieszkanie Królowej wróżek.

Gdyby jakiś ranny poeta przechodził przez avenue Gabriel o pierwszych różach jutrzeńki, posłyszałby, jak słowik kończy ostatnie trele swego nokturna, i widziałby, jak kos w żółtych pantoflach przechadza się po ogrodzie. Lecz w nocy, gdy turkot powozów, wracających z Opery, cichł wśród milczenia, kładącego się na sen życia, tenże poeta zauważyłby niewyraźny blady cień, idący pod rękę z pięknym młodym mężczyzną, i wróciłby do swej samotnej mansardy z duszą śmiertelnie smutną.

Tam właśnie od pewnego czasu mieszkała hrabina Praskowja Łabińska z mężem swym, hrabią Olafem Łabińskim, który powrócił z wojny kaukaskiej. Uniknął kul tak, jak ich unikają ludzie odważni: rzucając się na nie; a zakrzywione damascenki dzikich wojowników pryskały na jego piersi, nie czyniąc mu żadnej szkody. Odwaga jest najlepszym pancerzem. Hrabia Łabiński po-

siadał to szalone męstwo ras słowiańskich, które kochają niebezpieczeństwo dla samego niebezpieczeństwa i do których można jeszcze zastosować refren starej pieśni skandynawskiej: „Oni zabijają, śmieją się i umierają“.

Z jakim upojeniem powitali się ci małżonkowie, dla których małżeństwo było jedynie namiętnością, dozwoloną przez Boga i ludzi — o tem mógłby powiedzieć tylko Tomasz Moore stylem „Miłości Aniołów“!

Każda kropla atramentu musiałaby się zmienić pod naszym piórem w kroplę światła, a każde słowo musiałoby wzbić się na papierze ognistą i wonną chmurą, jak ziarnko kadzidla. Te dwie dusze w jednej podobne były do dwóch łez rosy, które, ściekając po płatkach lilji, spotykają się, mieszają, wchłaniają się wzajemnie i tworzą jedną perłę. Szczęście jest rzeczą tak rzadką na świecie, że człowiek nie zdołał znaleźć wyrazów na jego oddanie, gdy tymczasem słownik cierpień moralnych i fizycznych zajmuje tak wielką przestrzeń w języku każdego narodu.

Olaf i Praskowja kochali się jeszcze jako dzieci. Ich serca były zawsze na dźwięk jednego tylko imienia; wiedzieli prawie od kolebki, że będą należeć do siebie, i reszta świata nie istniała dla nich; tworzyli tę dwoistość w jedności, która jest harmonją doskonałą, i szli, a raczej lecieli przez życie równym lotem, jak para gołębi.

Aby zaś nie nie miało tego szczęścia, olbrzymi majątek otaczał ich jakby atmosferą złota.

Odkąd politeizm zabrał ze sobą młode bóstwa, uśmiechniętych genjuszów, efebów niebiańskich o kształtach skończonej doskonałości, o rytmie harmonijnym, idealnie czystych, i odkąd Grecja starożytna przestała śpiewać w strofach paryjskich swój hymn na cześć piękna, człowiek nadużył w sposób okrutny przywileju brzydoty, i stworzony na obraz Boga, nie oddaje bynajmniej jego podobieństwa.

Lecz hrabia Łabiński nie skorzystał z tego przywileju; nieco wydłużony owal twarzy, nos mały, zarysowany śmiało i wytwornie, usta silnie podkreślone, wąs jasny, zaostrzony na końcach, podbródek podniesiony i przerźnięty małą brózdą, oczy czarne — nadawały mu pozór tych aniołów wojowniczych, świętego Michała lub Rafaela, którzy walczą z demonami, odziani w zbroję złoci-stą. Byłby zbyt pięknym, gdyby nie męski błysk ciemnych źrenic i śniadość cery, którą go obdarzyło słońce Azji.

Hrabia był średniego wzrostu, szczupły, smukły, żyłasty, ukrywający stalowe mięśnie pod pozorną delikatnością, i kiedy na bal w poselstwie ubierał kostjum magnata, cały szamerowany złotem, rozgwieżdżony diamentami, obsyty perłami — przechodził wśród grup jak zjawisko błyszczące, budząc zazdrość mężczyzn i miłość kobiet, które dzięki Praskowji były mu obojętne.

Możecie zrozumieć, że wobec takiego współzawodnika — Oktawjusz de Saville miał szanse bardzo niewielkie i że dobrze czynił, marniejąc pocichu wśród poduszek kanapy i nie łudząc się zbyt nadzieją, jaką starał się w nim obudzić fantastyczny doktor Baltazar Cherbonneau.

○ Jedynym środkiem było zapomnieć o Praskowji, ale było to rzeczą niemożliwą. Pójść ją raz jeszcze zobaczyć? — poco? Oktawjusz czuł, że stałość młodej kobiety nie osłabnie, że zawsze pozostanie równie łagodną i nieubłaganą, równie chłodną i współczującą. Bał się, żeby jego rany niezabliźnione nie otworzyły się i nie zaczęły krwawić na widok tej, która go zabiła; pozostała niewinna — i on nie mógł jej oskarżać, słodkiej, kochanej morderczyni!

IV

Dwa lata upłynęły od chwili, kiedy hrabina Łabińska powstrzymała na ustach Oktawjusza wyznanie miłości, której nie godziło się jej słuchać. Oktawjusz spadł ze szczytów swego marzenia i oddalił się, czując, jak mu wątrobę żre dziób czarnej niedoli. Nie dawał o sobie znać Praskowji. Jedyne słowo, jakie mógł jej napisać, było mu wzbronione. Nieraz myśl hrabiny, zatrwożona tem milczeniem, ulatywała na ciemnych skrzydłach melancholji ku jej biednemu wielbicielowi — czy o niej zapomniał?

Nie mając w sobie nic kokieterji, pragnęła

tego, a jednocześnie nie wierzyła, aby się to stać mogło, gdyż w jej pamięci oczy Oktawjusza błyszczały nieugaszonym płomieniem namiętności — nie mogła się przecież mylić. Miłość i bogów poznaje się od jednego spojrzenia. Ta myśl przełatywała po czystym lazurze jej szczęścia, jak mała chmurka, i napawała ją ulotnym smutkiem aniołów, które w niebie pamiętają o ziemi; jej uroczą dusza cierpiała na myśl o człowieku, który z jej powodu jest nieszczęśliwy; lecz cóż może uczynić dla biednego pastuszka gwiazda, błyszcząca u szczytu firmamentu? W czasach mitologicznych Febe schodziła z niebios, w promieniach srebrnych, na sen Endymjona; lecz Febe nie była poślubioną polskiemu hrabi.

Zaraz po swym przyjeździe do Paryża hrabina Łabińska posłała Oktawjuszowi to banalne zaproszenie, które doktor Baltazar Cherbonneau dyskretnie obracał w palcach — a widząc, że nie przychodzi pomimo jej życzenia, powiedziała sobie z uczuciem mimowolnej radości: — „On mnie zawsze jeszcze kocha”. — A była to przecież kobieta anielskiej nieskazitelności, czysta, jak śnieg na najwyższym szczycie Himalajów.

Lecz sam Bóg w głębi swego bezkresu nie ma większej rozrywki wśród nudy wieczności nad rozkosz słuchania, jak bije dlań serce biednej istoty, ginącej na jakimś nędznym globie, zagubionym w nieskończoności. Praskowja nie była bardziej surowa, niż Bóg, i hrabia Olaf nie mógłby

jej wyrzucać tej niewinnej rozkoszy, czysto duchowej.

— Opowiadanie, którego wysłuchałem uważnie — ozwał się doktor — jest dla mnie dowodem, że wszelkie pańskie nadzieje byłyby jeno złudą. Nigdy hrabina nie odpowie panu wzajemną miłością.

— A więc widzi pan, panie Cherbonneau, że dobrze uczyniłem, nie chcąc zatrzymywać życia, które ode mnie odchodzi.

— Powiedziałem, że niepodobna pokładać nadziei w zwyczajnych środkach — mówił dalej doktor — lecz istnieją potęgi ukryte, jakich nie zna wiedza współczesna, a których tradycja żywie w tych dziwnych krajach, przez nieświadomą cywilizację nazwanych barbarzyńskimi.

Tam, w pierwszych dniach świata, ród ludzki, w bezpośrednim zetknięciu z żywymi siłami przyrody, poznawał tajemnice, o których się mówi, że zaginęły i że nie zabrały ich ze sobą te wędrujące plemiona, z których później powstały narody. Owe tajemnice, przekazywane wpierw z jednego wtajemniczonego na drugiego, w niezbadanych samotniach świątyń, potem spisane w świętym języku, niezrozumiałym dla ludu, wykute w kolumnach hieroglifów wzdłuż podziemnych ścian Ellory, na zboczach góry Meru, z pod której wypływa Ganges, u stóp schodów z białego marmuru w świętem mieście Benares, w głębi cejlońskich pagód, zapadłych w ruiny — znajdzie pan jeszcze kilku stu-

letnich braminów, wczytujących się w nieznane rękopisy, kilku jogów, zajętych jedynie powtarzaniem niepodobnej do oddania zgłoski *om*, tak pochłoniętych tą pracą, że nie widzą, jak ptaki niebieskie gnieźdzą się w ich włosach; znajdzie pan kilku fakirów, którzy posiadają mnóstwo zaginionych tajemnic i dzięki nim dokonywują rzeczy cudownych.

Nasza Europa, całkowicie oddana sprawom materialnym, nawet nie wyobraża sobie, do jakiego stopnia spirytualizmu doszli pokutnicy indyjscy. Całkowite posty, przeraźliwa wytrwałość w kontemplacji, nieprawdopodobne pozycje, zachowywane latami, tak wycieńczają ich ciało, że, patrząc na nich, jak siedzą skuleni, pod słońcem rozżarzonem, między płonącymi ogniskami — ma się wrażenie, że są to mumje egipskie, wyjęte z pudła i powyginane jak małpy; ich powłoka ludzka jest jeno poczwarką, którą dusza, ten motyl nieśmiertelny, może wedle woli porzucać lub zpowrotem brać na siebie. Podczas gdy ich nędzny zewłok leży tam, bezsilny a straszny jak larwa nocna, ich duch, wolny od wszystkich więzów, wznosi się na skrzydłach halucynacji do niezmierzonych wyżyn, do światów nadzmysłowych. Mają wizje i sny dziwne; w ekstazie przechodzą wszystkie falowania, jakich doznają stulecia, zagubione w oceanie wieczności; we wszystkich kierunkach przebiegają bezmiar, są obecni przy tworzeniu się światów, przy powstawaniu bogów i przy ich me-

tamorfozach; wraca do nich pamięć rzeczy, pochłoniętych przez kataklizmy wulkaniczne i dyluwjalne, oni na nowo związują porwane węzły, jakie łączyły człowieka z poszczególnymi żywiołami.

W tym dziwnym stanie mruczą słowa, należące do języków, któremi od lat tysięcy nie mówi już żaden naród na powierzchni ziemi, odnajdują jakieś prาสłowo, słowo, które światło dobyło z odwiecznych ciemności. Uważa się ich za szaleńców, a są oni niemal bogami!

Ta szczególna przedmowa rozbudziła w Oktawjuszu ciekawość do najwyższego stopnia. Młody człowiek, nie wiedząc, dokąd zdąża pan Baltazar Cherbonneau, utkwiał w nim oczy zdziwione i pytające; nie rozumiał bowiem, jaki związek mogą mieć pokutnicy indyjscy z jego miłością do hrabiny Praskowji Łabińskiej.

Doktór, odgadując myśl Oktawjusza, uczynił ruch ręką, jakby chciał uprzedzić pytanie, i rzekł:

— Trochę cierpliwości, mój drogi pacjencie; zrozumie pan za chwilę, że to, co mówię, nie jest zbytęczną dygresją. Ustawiczne badanie skalpelem trupów, które mi nie odpowiadały i pokazywały mi jeno śmierć, gdy tymczasem ja szukałem życia—znużyło mnie i powziąłem postanowienie — równie śmiałe, jak zamiar Prometeusza—dojść do duszy, złowić ją, poddać analizie, krajać ją i parzyć, jak drga; od tej chwili miałem w pogardzie całą tę naszą wiedzę materjalistyczną, albowiem poznałem jej nicość.

Usiłowałem zapomocą magnetyzmu rozluźnić węzły, które przykuwają ducha do jego powłoki; wrychle przewyższyłem Mesmera, Deslona, Mexwela, Puységura, Deleuze'a i innych, bardziej od nich zręcznych, dokonywałem doświadczeń po prostu cudownych, które jednak wciąż mnie jeszcze nie zadawałniały: katalepsja, somnambulizm, widzenie na odległość, ekstatyczne jasnowidzenie — wszystkie te efekty, niewytłumaczone dla tłumu, a proste i zrozumiałe dla mnie, wywoływałem z niesłychaną łatwością.

Wznosiłem się wyżej: od zachwyceń Cardana i świętego Tomasza z Akwinu przechodziłem w stany nerwowe pityj delfickich; odkryłem arkaną greckich epoptów i hebrajskich nebi; sposobem retrospektywnym wtajemniczałem się w misterja Trofonjosa, rozpoznając w cudach, które o nich opowiadano, ześrodkowanie lub ekspansję duszy, wywołane bądź to gestem, bądź spojrzeniem, słowem, wołą lub wszelkim innym nieznanym czynnikiem. Jeden po drugim spełniałem wszystkie cuda Apolonjusza z Tjany.

Mimo to moje marzenie nie było urzeczywistnione; dusza wciąż uciekała przede mną; czułem ją, słyszałem, wpływałem na nią; stępiałem lub zaostbrałem jej zdolności; lecz między nią a mną istniała zasłona z ciała, której nie mogłem usunąć, aby jednocześnie dusza się nie wymknęła.

Wyjechałem do Indyj, w nadziei, że znajdę rozwiązanie zagadki w tym kraju odwiecznej mądro-

ści. Wyuczyłem się sanskrytu i prakrytu, narzeczyuczonych i ludowych, mogłem rozmawiać z pandytami i braminami. Przeszedłem dżungle, które tygrys napelnia swym rykiem; przepłynąłem jeziora święte, inkrustowane łuską krokodylów; wdarłem się do niedostępnych lasów, zamkniętych siecią lian; za mojem zbliżeniem się podnosiły się chmury nietoperzy i małp, na zakręcie ścieżki, pełnej dzikich zwierząt, spotykałem słonia i wreszcie docierałem do szałasów jakiegoś starego jogi, utrzymującego stały kontakt z Muni, i całymi dniami siedziałem przy nim, dzieląc z nim jego skórę gazeli—siedziałem tam poto, aby zapisywać obłędne zaklęcia, które ekstaza wywoływała na jego wargi czarne i spękane. W ten sposób udało mi się pochwycić wyrazy wszechpotężne, formuły nieodparte, zgłoski twórczego Słowa.

W zakamarkach pagód badałem rzeźby symboliczne, których nie widziało nigdy oko profana i dokąd ułatwiała mi dostęp szata braminy; naczałem się wielu tajemnic kosmogonicznych, wielu legend, stworzonych przez umarłe cywilizacje, odgadłem znaczenie emblematów, które trzymają w swych rękach te bóstwa dwoiste i bujne jak sama przyroda Indyj; rozmyślałem nad kołem Bramy, lotosem Wiśnu, wężem Sziwy, błękitnego boga. Genesa, rozwijający swą trąbę i błyskający małemi oczkami z pod cienia długich rzęs, zdawał się uśmiechać na widok mych wysiłków i dodawać mi odwagi do dalszych poszukiwań. Wszystkie te

postaci potworne mówiły do mnie w swej mowie kamiennej: — „Jesteśmy jeno formą, a duch porusza wszystko“.

Pewien kapłan świątyni w Tirunamalaju, któremu zwierzyłem się z mych myśli, wskazał mi pokutnika, mieszkającego w jednej z grot wyspy Elefanta, jako tego, co doszedł do najwyższego stopnia doskonałości. Znalazłem go opartego o ścianę pieczary, owiniętego w matę, z brodą, opartą na kolanach, z palcami, zagiętymi dokoła nóg, w stanie zupełnego bezruchu; w oczach wywróconych widziało się tylko białka; skóra zdawała się powlekać same kości — tak był wychudzony; włosy, odrzucone wtył, zwisały w kosmykach, jak długie żółta trawy, wymykające się z załomów skały; broda dwoma strumieniami spływała do ziemi, a paznogie zakrzywiały się, jak szpony orla.

Słońce wysuszyło go i poczerniło tak, że jego skóra, z natury już brunatna, przybrała barwę białutą. W tej postawie przypominał kształtem i kolorem wazę z Kanopos. W pierwszej chwili myślałem, że to człowiek umarły. Potrząsnąłem jego ramiona zeszywniałe w śnie kataleptycznym, krzychałem mu do uszu jak mogłem najgłośniejsze słowa sakramentalne, które miały mu wskazać, że jestem wtajemniczony; nie drgnął nawet, jego powieki pozostały nieruchome.

Miałem się już oddalić, straciwszy nadzieję wydobyć zeń czegokolwiek, kiedy usłyszałem dziwny trzask; niebieskawa iskra zamigotała mi

w oczach, z błyskawiczną szybkością, na jedną chwilę przeleciała po wpółotwartych ustach pokutnika i znikła.

Brama-Logum (takie było imię świętej osoby) zdawał się budzić z letargu: źrenice wróciły na swoje miejsce, obrzuciły mnie ludzkim spojrzeniem i taką dał odpowiedź na moje pytania:

— Pragnienie twoje spełnione: widziałeś duszę. Doszedłem do tego, że mogę duszę oddzielać od ciała, kiedy mi się podoba: wychodzi i wraca jak świetlista pszczoła, widoczna jedynie dla oczu adeptów. Tyle pościłem, tyle modliłem się, tyle rozmyślałem, katowałem się tak srodze, że wkońcu mogłem rozwiązać węzły ziemskie, które ją trzymają, a Wiśnu, bóg o dziesięciu wcieleniach, objawił mi słowo tajemnicze, które strzeże duszy w jej awatarach poprzez różnorodne kształty.

Jeżeli po wykonaniu świętych gestów wymówię to słowo, dusza twoja wyjdzie z ciała, aby ożywić człowieka lub zwierzę, jakie jej wskażę. Powierzam ci tę tajemnicę, którą dziś ja tylko posiadam na świecie. Cieszę się, żeś przyszedł, albowiem śpieszno mi rozplynać się w niebycie, jak kropla rozplywa się w morzu.

I pokutnik wyszeptał głosem słabym, jak ostatnie rżenie konającego, kilka zgłosek, na dźwięk których przebiegł mnie ów dreszcz, o jakim mówi Hiob.

— Co chcesz przez to powiedzieć, doktorze?

— zawołał Oktawjusz.—Nie śmiem zajrzeć w prze-
rażliwą głębię twojej myśli.

— Chcę powiedzieć — odparł spokojnie pan
Baltazar Cherbonneau — że nie zapomniałem ma-
gicznej formuły mego przyjaciela Brama-Logum
i że hrabina Praskowja okaże się nazbyt wrażliwą,
jeśli rozpozna duszę Oktawjusza de Saville w ciele
Olafa Łabińskiego.

V

Sława doktora Baltazara Cherbonneau jako le-
karza i cudotwórcy zaczynała być głośna w Pa-
ryżu; jego dziwactwa, udane lub prawdziwe, uczy-
niły go modnym. Lecz zamiast jednać sobie klien-
telę, starał się pozbywać chorych, zamykając im
drzwi przed nosem lub przepisując dziwną i nie-
możliwą kurację. Przyjmował tylko w wypadkach
beznadziejnych i wtedy osiągał rezultaty wręcz
niepojęte. Stojąc przy łóżku, czynił gesty magicz-
ne nad szklanką wody—i ciało już sztywniejące
i zimne, że je tylko do trumny kłaść, po wypiciu
kilku kropel tego napoju nabierało życia, cery
i zdrowia, podnosiło się na wezglowiu, wodząc
dokoła wzrokiem, który już zwolna przywykał do
ciemności grobu.

Nazywano go lekarzem umarłych i wskrzesi-
cielem. Niezawsze zgadzał się na leczenie i od-
rzucał wielkie sumy, ofiarowywane mu przez boga-
tych konających. Żeby się zdecydował stanąć do

walki ze śmiercią, musiały go wzruszyć łzy matki, błagającej o zbawienie dla jedynego dziecka, lub rozpacz kochanka, proszącego o łaskę dla ubóstwianej istoty, albo gdy widział, że zagrożone życie może służyć poezji, wiedzy i postępowi ludzkości. Ocalił w ten sposób urocze dziecię, którego szyjkę ścisnął krup żelaznymi palcami, cudną dziewczynę w ostatniem stadium suchot, poetę u wrót *delirium tremens*, wynalazcę, porażonego paraliżem mózgu, człowieka, który miał już zagrzebać swą tajemnicę pod kilku warstwami ziemi.

W innych wypadkach mówił, iż nie należy sprzeciwiać się naturze, że nieraz śmierć ma swą rację bytu i że, opierając się jej, można naruszyć porządek wszechświata. Widzicie więc, że pan Baltazar Cherbouneau był najparadoksalniejszym doktorem na świecie i że przywiózł z Indyj wyjątkowo ekscentryczne usposobienie; lecz sława jego jako magnetyzera była jeszcze większą, od sławy lekarza; w gronie nielicznych wybranych urządził kilka seansów, o których opowiadano cuda, zdolne pomieszać pojęcie możliwości i niemożliwości — rzeczy, przewyższające wszystko, co czynił Cagliostro.

Doktor zajmował w parterze starego pałacu przy rue du Regard mieszkanie w amfiladzie, tak, jak to dawniej budowano. Okna jego wychodziły na ogród, zasadzony wielkimi drzewami o czarnych pniach a jasno zielonych liściach. Chociaż było to lato, potężne kaloryfery napelniały prze-

stronne sale gorącym powietrzem i utrzymywały temperaturę trzydziestu pięciu lub czterdziestu stopni, gdyż pan Baltazar Cherbonneau, nawykły do pożarnego klimatu Indyj, trząsł się z zimna na naszym bladym słońcu, jak ów podróżnik, który po powrocie ze źródeł Nilu Błękitnego w Afryce środkowej zmarł w Kairze. Nie wyjeżdżał nigdy inaczej, jak w karecie zamkniętej, szczelnie owinięty w futro z niebieskich lisów syberyjskich, podczas gdy nogi ogrzewała mu żelazna butelka, napelniona gorącą wodą.

W tych salach nie było innych mebli oprócz niskich sof z materij malabarskich, zdobnych w bajeczne słonie i fantastyczne ptaki, dalej półki rzeźbione, malowane i złocone z barbarzyńską naiwnością przez cejlońskich artystów, wazy japońskie, pełne kwiatów egzotycznych, kilka bożków indyjskich z marmuru lub bronzu, o długich oczach kształtu migdałów, z nosami, zdobnemi w pierścienie, o wargach grubych i uśmiechniętych, w naszyjnikach z pereł, spadających aż do pępka, o atrybutach dziwnych i tajemniczych; na ścianach wisiały minjatury, robione guaszem przez jakiegoś malarza z Kalkuty, przedstawiające dzieć awatarów Wiśnu: jako ryby, żółwia, prosięcia, lwa z głową ludzką, karła w stroju bramina, Ramy, bohatera, walczącego z olbrzymem tysiącramiennym, jako Kriszny, dziecka cudownego, w którym marzyciele widzą indyjskiego Chrystusa, jako Buddy, wyznawcy wielkiego boga

Mahadevi; i wkońcu zjawiał się jako Wiśnu uśpiony, w pośrodku mlecznego morza, leżący na wężu o pięciu wygiętych łbach, oczekujący godziny, w której na ostatnie wcielenie przyjmie postać owego białego skrzydłatego konia, który w swym locie uroni podkowę i sprowadzi koniec świata.

W najbardziej ustronnej sali, ogrzanej jeszcze mocniej, niż inne, przebywał sam Baltazar Cherbonneau, otoczony księgami sanskryckimi, pisanymi pendzelkiem na cieniotkich deseczkach, przeklutyh dziurką, przez którą szedł sznurek, łączący je w jedną całość. W pośrodku pokoju wznosiła się zaciekawiająca i skomplikowana sylweta maszyny elektrycznej z butelkami, pełnemi płatków złota, z tarczami szklanemi, które obracały się zapomocą korby. Obok stało wiaderko mesmeryczne, w którym pływał pręt metalowy i błyszczało mnóstwo sztabek żelaza.

Cherbonneau nie był bynajmniej szarlatanem i nie starał się otaczać efektowną tajemniczością, a przecież wchodziło się do tego dziwnego ustroju nie bez owego wzruszenia, które ongiś obudzały laboratorja alchemików.

Hrabia Olaf Łabiński słyszał o cudach, dokonywanych przez doktora, i to rozpałiło jego dość łatwowierną ciekawość. Rasa słowiańska ma przyrodzoną skłonność do cudowności, której nie usuwa nawet najstaranniejsze wychowanie, atoli wiarygodni świadkowie tych seansów opowiadali takie

rzeczy, jakim można wierzyć dopiero po naocznem przekonaniu się, choćby się miało nie ~~wiem~~ jakie zaufanie do opowiadającego. Poszedł tedy odwiedzić cudotwórcę.

Kiedy hrabia Łabiński wszedł do doktora Baltazara Cherbonneau, doznał uczucia, jakby go otaczał niewidzialny płomień; wszystka krew napłynęła mu do głowy, nabrzmiały mu żyły na skroniach, dusiło go przeraźliwe gorąco, panujące w mieszkaniu; lampy, w których płonęła oliwa aromatyczna, wielkie kwiaty jawańskie, poruszające olbrzymim kielichem, jak kadzielnica, odurzały go zawrotną wonią.

Chwiejąc się, postąpił kilka kroków ku doktorowi, który siedział skulony na sofie, w dziwnej pozie jakiegoś fakira lub sannyasi, przedstawionych tak malowniczo w opisie podróży do Indyj księcia Sołtykowa. Gdy tak siedział, owinięty w swe szaty, podobny był do ludzkiego pająka, który w głębi swej tkaniny czyha na zdobycz.

Na widok hrabiego oczy turkusowe zapaliły się fosforycznemi blaskami i natychmiast zgasły, jakby nakryte bielmem. Doktor wyciągnął rękę w stronę Olafa, odgadując jego omdlenie, i kilku pociągnięciami otoczył go atmosferą wiosny, stwarzając dlań chłodny raj w tem piekle upału.

— Czy lepiej panu teraz? Pańskie płuca, nawykłe do powiewów bałtyckich, co przychodzą zupełnie jeszcze zimne z bieguna, gdzie tarzały się po śniegach stuletnich, płuca pańskie dyszały

zapewne jak miechy kowalskie w tem rozpalonem powietrzu, w którym ja jednak marznę, ja, ze wszystkich stron wysmażony w wielkich piecach słońca.

◊ Hrabia Olaf Łabiński uczynił ruch, mający oznaczać, że już mu nie cięży wysoka temperatura mieszkania.

— Słyszałeś pan zapewne — ozwał się doktor tonem dobrodusznym — że umiem robić różne sztuczki i chciałby pan widzieć, jak ja to robię. O! jestem mocniejszy niż Komus, Comte lub Bosco.

— Moja ciekawość nie jest tak swawolna — odparł hrabia — i mam wiele szacunku dla jednego z książąt wiedzy.

— Nie jestem uczonym w zwykłym znaczeniu tego słowa; przeciwnie, badając pewne rzeczy, któremi nauka pogardza, stałem się panem sił ukrytych i osiągam efekty na pozór cudowne a przecież zupełnie naturalne. Tak długo czyhałem na duszę, że wkońcu udało mi się ją kilka razy zaskoczyć — poczyniła mi pewne zwierzenia, z których skorzystałem, i powiedziała mi słowa, które zapamiętałem.

Duch jest wszystkim, materja istnieje tylko pozornie; wszechświat jest pono tylko marzeniem Boga albo promieniowaniem Słowa w nieskończoności. Mogę robić z łachmanem ciała ludzkiego, co mi się podoba, zatrzymuję życie lub je przyspieszam, przenoszę zmysły, usuwam przestrzeń, unicestwiam ból bez chloroformu, eteru lub jakiej-

kolwiek mikstury znieczulającej. Uzbrojony w wolę, tę elektryczność intelektualną, daję życie lub zabieram.

Nic nie jest ciemnem dla moich oczu; spojrzeniem przenikam wszystko; widzę dokładnie promienie myśli i podobnie, jak można rzucić na ekran widmo słoneczne, tak ja owe promienie mogę przepuścić przez swój niewidzialny pryzmat i zmusić do odbicia się na białem płótnie mego mózgu.

Lecz wszystko to jest niczem w porównaniu do cudów, spełnianych przez pewnych jogów indyjskich, którzy doszli do szczytu ascezy. My, Europejczycy, jesteśmy zanadto lekkomyślni, zbyt roztargnieni, zbyt rozmiłowani w swem glinianem więzieniu, aby móc w niem otworzyć prawdziwie szerokie okna na wieczność i nieskończoność. Mimo to osiągnąłem kilka rzeczy dość niezwykłych, i wnet pan się o tem przekona—rzekł doktor Baltazar Cherbonneau, rozsuwając ciężką zasłonę, za którą był rodzaj alkowy, wciętej w głąb sali.

W świetle płomyka spirytusowego, który błyszczał na trójnogu brązowym, hrabia Olaf Łabiński ujrzał widowisko straszne tak, że pomimo całej swej odwagi zadrżał. Na stole z czarnego marmuru leżało ciało młodego mężczyzny, nagie i w trupim bezruchu; z piersi, najeżonych strzałami, jak u świętego Sebastjana, nie płynęła ani kropla krwi; rzekłbyś, że to malowana statua męczennika, na której zapomniano ubarwić cynobrem otworów ran.

„Kto wie — pomyślał Olaf — czy ten dziwny lekarz nie jest wyznawcą Sziwy i czy nie zakuł człowieka na ofiarę swemu bóstwu.“

— Ależ on wcale nie cierpi, niech go pan kłuje bez obawy; ani jeden mięsień na twarzy nie drgnie — i doktor wyjął z ciała strzały, jak się wyjmują igły z poduszki.

Kilka ruchów ręką wystarczyło, aby się ocknął z uśmiechem zachwyty na ustach, jak ten, co budzi się ze słodkiego snu. Baltazar Cheronneau pożegnał go skinieniem, on zaś wyszedł przez małe drzwiczki, wycięte w obramieniu alkowy.

— Mógłbym mu być odjąć rękę lub nogę, i nawetby tego nie spostrzegł — ozwał się doktor, składając swe zmarszczki do uśmiechu. — Nie uczyłem tego, albowiem nie umiem jeszcze stwarzać i ponieważ człowiek, niższy w tem od jaszczurki, nie ma w sobie tak mocnych soków, które sprawiają, że odjęty członek odrasta. Nie mogąc tworzyć, odmładzam przynajmniej.

I w tej chwili podniósł zasłonę, która okrywała starszą kobietę, siedzącą w śnie magnetycznym na fotelu, nieopodal owego stołu z czarnego marmuru; rysy jej, piękne niegdyś, były zwiędłe, i niszczycielski prąd czasu widziało się w wychudłych zarysach ramion, pleców i piersi. Na kilka minut doktor utkwiał w niej uporczywe spojrzenie niebieskich oczu; zmaczone linie nabrały znów siły, zarys piersi odzyskał czystość dziewczęcą, ciało białe i gładkie zapełniło wychudzoną szyję; po-

liczki zaokrągliły się i stały się miękkie, aksamitne jak brzoskwinie, w całej świeżości młodego wieku; oczy rozwarły się, błyszczące żywym fluidem.

— Czy wierzy pan, że Źródło Młodości kiedyś rozlewało swe wody cudowne? — zapytał doktor hrabiego, który osłupiał na widok tej przemiany. — Ja w to wierzę, albowiem człowiek nie wynajduje nic i każde jego marzenie jest odgadywaniem lub przypomnieniem.

Lecz porzućmy ten kształt, wołaj moją, powołany do dawno umarłego życia, i przyjrzyjmy się dziewczynie, która tam oto w kącie śpi spokojnie. Niech pan ją zapyta, ona wie więcej, niż pytte i sybille. Może ją pan posłać do któregoś ze swych siedmiu zamków w Czechach, zapytać ją, — co zawiera jakiś najbardziej tajemny schowek, i ona powie, gdyż dusza jej potrzebuje na odbycie tej drogi jednej sekundy, rzecz zresztą nie tak dziwna, skoro elektryczność przebiega siedemdziesiąt tysięcy mil w tej samej ilości czasu; a elektryczność wobec myśli jest tem, czem dożka wobec kolei żelaznej. Niech jej pan poda rękę, aby nawiązać z nią kontakt; nie potrzebuje pan nawet stawiać pytania, ona je wyczyta z pańskiej duszy.

Dziewczyna głosem bezdźwięcznym odpowiedziała na bezsłowne zapytanie hrabiego:

— W szkatułce cedrowej znajduje się kawałek

ziemi, posypanej miękkim piaskiem, na którym wi-
dać odcisk małej stopy.

— Czy dobrze odgadła? — zapytał doktor od-
niechcenia, jakby był najzupełniej pewny nieo-
myślności swej uśpionej.

Gorący rumieniec pokrył policzki hrabiego. W istocie, w pierwszych dniach swej miłości za-
brał z jednej alei parku odcisk stopy Praskowji i przechowywał ją jak relikwję w puszce, inkrus-
towanej perłową macicą i srebrem, nader kosztow-
nej roboty; malutki kluczyk od szkatułki nosił
zawsze ze sobą, zawieszony na szyi, w szkaple-
rzyku weneckim.

Pan Baltazar Cherbonneau, który był człowie-
kiem towarzyskim, widząc zakłopotanie hrabiego,
nie nalegał i podprowadził go do stołu, gdzie sta-
ła woda tak czysta, jak diament.

— Bez wątpienia słyszałeś pan o zwierciadle
magicznem, w którym Mefistofeles pokazuje Fau-
stowi obraz Heleny; chociaż nie mam kopyta koń-
skiego pod moją pończochą jedwabną ani dwóch
piór kogucich na kapeluszu, mogę pana uraczyć
tem samem dziwem. Niech się pan pochyli nad tą
czarą i niech pan mocno myśli o tej osobie, któ-
rą chce pan zobaczyć; żyjąca czy umarła, daleka
czy bliska—przyjdzie na pańskie wezwanie, z koń-
ca świata lub z głębi dziejów.

Hrabia pochylił się nad czarą, której woda na-
tychmiast zmąciła się pod jego spojrzeniem i przy-
brała odcień opalowy, jakby wlano do niej kroplę

jakiejs esencji; tęczyowy krąg barw otoczył brzeg naczyńia, ujmując w ramy obraz, który się już wyłaniał z poza białawej chmury.

Mgła się rozproszyła. Młoda kobieta w koronkowym penjuarze, o oczach zielonych jak woda morska, o wijących się złotych włosach, przesuwająca roztargnionemi dłońmi po klawiszach—zarysowała się na dnie wody, która znów stała się przejrzystą: była to Praskowja Łabińska; nie wiedząc o tem, szła, posłuszna namiętnemu wołaniu hrabiego.

— A teraz przejdźmy do rzeczy bardziej zajmującej — rzekł doktor, biorąc hrabiego za rękę kładąc ją na jednym z prętów żelaznych wiaderka mesmerycznego. Ledwo Olaf dotknął metalu, naładowanego magnetyzmem, padł, jak piorunem rażony.

Doktor wziął go w ramiona, podniósł jak piórko, złożył na sofie, zadzwonił i rzekł do służącego, który się zjawił na progu:

— Idź i sprowadź pana Oktawjusza de Saville.

VI

Turkot karety dał się słyszeć na cichym dziedzińcu pałacowym, i prawie jednocześnie Oktawjusz stanął przed doktorem; ogarnęło go zdumienie, gdy pan Cherbonneau pokazał mu hrabiego Olafa Łabińskiego, leżącego na sofie, jak człowiek umarły. W pierwszej chwili zdawało mu się, że

dokonano morderstwa, i przez pewien czas nie mógł słowa wymówić ze zgrozy; lecz po dokładniejszym zbadaniu zauważył, że ledwo dostrzegalny oddech podnosi pierś uśpionego.

— Oto—rzekł doktor—gotowe dla pana przebranie; zapewne, nie tak łatwo je ubrać, jak domino od Babina; lecz Romeo, wdzierając się na balkon w Weronie, nie myślał o tem, że może kark skrócić; wiedział, że Julja oczekuje go tam, w pokoju, pod zasłoną nocy; a hrabina Praskowja Łabińska godna jest chyba córy Kapuletów.

Oktawjusz, zmieszany niezwykłością sytuacji, nie odpowiedział nic; wciąż jeszcze patrzył na hrabiego, którego głowa, zlekka wtył odrzucona, spoczywała na poduszce tak, że podobny był do owych wizerunków rycerzy na pomnikach w klasztorach gotyckich—tak samo leżą oni sztywni, z głową, opartą o wezgłowie z rzeźbionego marmuru. Ta piękna i szlachetna postać, której miał odebrać duszę, budziła w nim mimowolnie pewne wyrzuty sumienia.

Doktor wziął rozmarzenie Oktawjusza za objaw wahania; lekki uśmiech pogardy przemknął po jego wargach:

— Jeżeli nie jesteś pan zdecydowany—rzekł—mogę obudzić hrabiego, który wyjdzie stąd, jak przyszedł, oczarowany mą siłą magnetyczną; lecz niech pan się dobrze zastanowi: taka sposobność może się już drugi raz nie zdarzyć. Zresztą, pomimo całego współczucia dla pańskiej miłości, po-

mimo chęci dokonania eksperymentu, nieznanego dotychczas w Europie—nie mogę ukryć przed panem, że ta zamiana dusz ma swoje niebezpieczeństwo. Uderz się pan w piersi, zapytaj się swego serca. Czy stawia pan swoje życie na tę ostatnią kartę? Miłość jest silna, jak śmierć — powiada Biblia.

— Jestem gotów — brzmiała prosta odpowiedź Oktawjusza.

— Dobrze, mój młody panie!—zawołał doktor, pocierając swe ciemne, suche ręce z niezwykłą szybkością, jakby chciał sposobem dzikich skrzesać ognia.—Podoba mi się takie uczucie, które się przed niczem nie cofa. Są tylko dwie rzeczy na świecie: uczucie i wola. Jeżeli nie będziesz szczęśliwy, nie będzie w tem z pewnością mojej winy. O, mój stary Brama-Logum, tam, ze szczytów nieba Indry, gdzie otaczają cię apsary chórem rozkosznym, zobaczysz, że nie zapomniałem tej nieodpartej formuły, którąś mi szeptał do ucha, porzucając swój zewłok ziemski. Wszystko pamiętam: i słowa, i gesty.

Do dzieła! do dzieła! Proszę usiąść naprzeciw mnie, na tym fotelu; oddaj mi się pan z całym zaufaniem i wierz w mą siłę. Dobrze! Oczy naprzeciw oczu, ręce naprzeciw rąk.—Czar zaczyna działać. Pojęcia czasu i przestrzeni gubią się gdzieś powoli, świadomość się zaćmiewa, powieki opadają; mięśnie, nie otrzymując już rozkazów od mózgu, rozprężają się; myśl zasypia, wszystkie de-

likatne nici, wiążące duszę z ciałem, rozluźniają się. Sam Brama wewnątrz złotego jajka, w którym prześnił dziewięć tysięcy lat, nie był tak oddzielony od rzeczy zewnętrznych; nasycimy go prądem, skąpiemy w promieniach.

Doktór, mruczając te zdania urywane, jednocześnie czynił odpowiednie ruchy; z jego rąk wyciągniętych strzelały świetlane błyski, które uderzały w czoło lub serce Oktawjusza tak, że dokoła niego utworzyła się widzialna atmosfera, fosforyzująca, jak aureola.

— Doskonale—pan Baltazar Cherbonneau sam pochwalił swą pracę. — Takim go chciałem mieć. O, o, a cóż tam jeszcze zostało?—zawołał po chwili, jakby przez czaszkę Oktawjusza dojrzał ostatnie wysiłki osobowości, bliskiej unicestwienia. — Cóż to za myśl jakaś uparta? Zaraz ją pochwyć i zduszę.

Aby przełamać ten bunt niewolny, doktor jeszcze mocniej naładował baterję magnetyczną swego wzroku i dosięgnął zrewoltowanej myśli w miejscu, gdzie mózdzek łączy się z rdzeniem pacierzowym, w najtajniejszym sanktuarjum duszy. Triumf jego był zupełny.

Z majestatyczną uroczystością zaczął się przygotowywać do niesłychanego doświadczenia. Na podobieństwo maga wdział szatę z płótna, umył ręce w wodzie, zaprawionej wonnościami, wyjął różne pudelka ze szminkami: na czole i na policzkach utatuował się według hieratycznych przepisów;

ramię opasał sznurem bramina, odczytał dwie lub trzy sloki ze świętych poematów i nie ominął ani jednego obrzędu, zaleconego przez sannyâsich z grot Elefanty.

Po skończonych ceremonjach rozwarł wszystkie ujęcia żaru tak, że sala napełniła się wrychle atmosferą poprostu płomienną, w której nie wytrzymałby tygrys z dżungli, a kwiat aloesu uwiadłby natychmiast.

— Te dwie iskierki boskiego ognia, które zaraz się zjawia, nagie i pozbawione swej śmiertelnej powłoki, nie powinny zblednąć lub zagasnąć w naszym lodowatym powietrzu — rzekł doktor, spoglądając na termometr, który pokazywał 120 stopni Fahrenheita.

Doktor Baltazar Cherbonneau podszedł do hrabiego Olafa Łabińskiego, zawsze jednakowo nieruchomego, i wymówił niepowtarzalną zgłoskę, poczem natychmiast uczynił to samo nad uspionym Oktawjuszem. Zwykle takie zabawne oblicze pana Cherbonneau miało w sobie teraz szczególny majestat; wielka moc, jaką rozporządzał, uszlachetniła jego bezładne rysy i, gdyby go ktoś widział w tej chwili, spełniającego obrzęd tajemniczy, nie poznałby w nim owego doktora hoffmannowskiego, który prosił się pod ołówek karykaturzysty.

Zaczęły się dziać rzeczy dziwne: ciałem Oktawjusza de Saville i hrabiego Olafa Łabińskiego wstrząsały konwulsje, jakby w agonji, twarz się zmieniała, na usta wystąpiła lekka piana; skórę ich

pokryła śmiertelna bladość; a nad ich głowami trzepotały się dwa małe niebieskawe płomyki.

Na błyskawiczne skinienie doktora, jakby wyznaczające im drogę w przestrzeni, dwa te punkciki fosforyczne poruszyły się i, zostawiając za sobą świetlane brózdy, przeszły każda do nowego domostwa: dusza Oktawjusza wzięła w posiadanie ciało hrabiego Łabińskiego, a dusza Olafa weszła w ciało Oktawjusza.

Awatar był dokonany.

Nieznacznym rumieniem, który pojawił się na policzkach, wskazywał, że życie wraca do tej gliny ludzkiej, co przez kilka sekund pozostawała bez duszy.

Niebieskie oczy Cherbonneau rozgorzały radością triumfu. Chodził po pokoju wielkimi krokami i sam ze sobą rozmawiał:

— Niech to potrafią najślawniejsi lekarze—oni, tacy dumni, że umieją naprawiać zegar życia, ilekroć się zepsuje: Hipokrates, Galenus, Paracelsus, van Helmont, Boerhaave, Tronchin, Hohnemann, Rasori—najlichszy fakir indyjski, siedzący na schodach pagody, wie tysiąc razy więcej od was!

Doktor Baltazar Cherbonneau, uniesiony radością, zaczął tańczyć, jak tańczą góry w salomonowej Pieśni nad Pieśniami. Zaplątawszy się w fałdy szaty bramińskiej, omal nie upadł; to wróciło mu zimną krew i równowagę ducha.

— Trzeba obudzić śpiących — rzekł pan Cherbonneau.

Stał szminkę z twarzy i rozebrał się z szaty bramina. Stojąc przed ciałem hrabiego Łabińskiego, w którym mieszkał duch Oktawjusza, uczynił kilka gestów, niezbędnych do wyprowadzenia go ze stanu somnambulicznego, strzepując za każdym ruchem fluid z palców.

W kilka minut Oktawjusz-Łabiński (będziemy go odtąd tak nazywali dla większej jasności opowiadania) podniósł się, przetarł oczy rękoma i powiódł dokoła zdziwionem spojrzeniem, którego nie rozjaśniała jeszcze całkowita świadomość. Kiedy mógł już dokładnie rozróżniać przedmioty — pierwsza rzecz, którą zobaczył, był jego własny kształt, leżący na sofie zdala od niego.

Widział samego siebie! Nie w zwierciadle, lecz w rzeczywistości. Wydał okrzyk, który go napętnił nowym strachem, albowiem był to okrzyk nie jego, nie własny, jakimś cudzym głosem brzmiący. Ponieważ wymiana dusz odbyła się podczas snu magnetycznego, nie pamiętał nic i odczuwał jakąś dziwną niepewność siebie. Myśl jego, posługująca się teraz nowymi organami, była jak robotnik, któremu zamiast zwykłych narzędzi dano jakieś inne. Wygnana Psyche biła niespokojnymi skrzydłami o sklepienie tej czaszki nieznanej i gubiła się co chwila w meandrach tego mózgu, gdzie pozostawały jeszcze ślady obcych myśli.

— No tak—ozwał się doktor, gdy się już dostatecznie nacieszył zdziwieniem Oktawjusza-Łabińskiego—jakże się panu podoba nowe mieszka-

nie? Czy dobrze się czuje pańska dusza w ciele tego pięknego kawalera, hetmana, hospodara czy magnata, męża najpiękniejszej kobiety na świecie? Sądzę, że nie masz pan teraz ochoty umierać, jak to było pańskim życzeniem, gdy cię pierwszy raz ujrzałem w tem smutnem mieszkaniu przy ulicy świętego Łazarza? Teraz bramy pałacu Łabińskich stoją przed panem otwarte naościę, i nie potrzebuje się pan obawiać, że Praskowja położy panu rękę na ustach jak wtedy, w willi Salviatic — teraz możesz jej pan mówić o miłości, ile się tylko panu podoba!

— Doktorze! — zawołał Oktawjusz-Łabiński — masz siłę Boga albo przynajmniej Demona.

— Ohoho! niech się pan nie boi, w tem wszystkim niema żadnej djabelskiej sztuczki. Nie kaze panu własną krew podpisywać cyrografu. Nie ma nic prostszego ponad to, co właśnie zostało spełnione. Słowo, które stworzyło światło, może z łatwością przenosić dusze.

— Czemże ja panu odpłacę za tę nieocenioną przysługę?

— Nie jesteś pan moim dłużnikiem; zajmowałem mnie, a dla starego wycierusa, jakim jestem, wypieczonego na wszystkich słońcach, wzruszenie jest rzeczą rzadką. Ale niechże się pan rusza, chodzi, niech pan spróbuje, czy nowa skóra dobrze na panu leży, czy nie ciśnie pod pachami.

Oktawjusz-Łabiński usłuchał doktora i przeszedł kilka razy po pokoju; nie był już tak za-

kłopotany; ciało hrabiego, mimo że zamieszkane obecnie przez inną duszę, zachowało swe dawne zwyczaje, i nowy gospodarz nie opierał się tym fizycznym wspomnieniom, albowiem musiał umieć chodzić, stać i ruszać się, jak to czynił wygnany właściciel.

— Gdybym przed chwilą sam nie dokonał przeprowadzki waszych dusz—rzekł, śmiejąc się, doktor Baltazar Cherbonneau—sądziłbym, że nie niezwykłego nie zaszło podczas tego wieczoru, i brałbym pana za prawdziwego, prawowitego i autentycznego hrabię litewskiego Olafa Łabińskiego, którego jażn śpi jeszcze tam, w owej poczwarcie, wzgardliwie przez pana porzuconej.

Lecz niebawem wybije dwunasta; proszę już iść, aby Praskowja nie gniewała się i nie wyrzucała panu, że wolisz od niej lancknehta lub bakarata. Nie powinienes pan zaczynać swego małżeństwa od kłótni—to zły znak. Tymczasem zajmę się rozbudzeniem pańskiej dawnej powłoki z całą ostrożnością i wszystkimi względami, na jakie zasługuje.

Oktawjusz-Łabiński wyszedł. Przed bramą niecierpliwiły się wspaniałe konie hrabiego, gryząc wędzidła, że aż piana kapiała im z pysków.

Na odgłos kroków młodego człowieka okazały strzelec, cały zielony, z zaginionej rasy hajduków, porwał się ku drzwiom karety i otworzył je z hłasem. Oktawjusz, który w pierwszej chwili skierował się w stronę swego powoziku, rozsiadł się

w przepysznym pojeździe i zawołał:—„Do pałacu!“
— Strzelec powtórzył rozkaz woźnicy.

Dla takich koni droga na przedmieście świętego Honorjusza nie była daleką, pochłonęły tę przestrzeń w kilka minut i woźnica zawołał stentorowym głosem:—„Brama!“

Ogromne podwoje, pchnięte przez szwajcara, wpuściły powóz, który zawrócił na wielkim dziedzińcu, wysypanym piaskiem, i zatrzymał się z niezwykłą dokładnością pod zasłoną w białe i różowe paski. Dziedziniec, który Oktawjusz-Łabiński obejrzał z tą szybkością, jaką dusza posiada w pewnych wyjątkowych okolicznościach — był przestronny, symetrycznie otoczony zabudowaniami, oświecony lampami z bronzu, w których drgały białe języki gazu; wazony drzew pomarańczowych, godne Wersalu, stały w równych odstępach na asfalcie, opasującym kobierzec piasku.

Biedny przemieniony kochanek, stawiając nogę na progu, musiał zatrzymać się na chwilę i położyć rękę na sercu, aby powstrzymać jego gwałtowne uderzenia. Miał, co prawda, na sobie ciało hrabiego Olafa Łabińskiego, ale były to jeno pozory; wszystko, co zawierał ten mózg, uciekło wraz z duszą pierwotnego właściciela. Dom, który miał być odtąd jego własnością, był mu nieznany; widząc jakieś schody, wszedł na nie w przekonaniu, że w razie pomyłki wytłumaczy się roztargnieniem.

Stopnie z polerowanego kamienia jaśniały bia-

łością, na tle której silniej występowała czerwień szerokiego kobierca, przytwierdzonego prętami z pozłacanej miedzi; żardynierki, pełne najpiękniejszych kwiatów egzotycznych, wznosiły się na każdym stopniu.

Olbrzymia, rzeźbiona i oszklona latarnia, zawieszona na grubej linie z purpurowego jedwabiu, rozrzucała złote deszcze po ścianach, pokrytych białym stiukiem, i oświetlała jasno replikę jednej z najslawniejszych grup Canovy: Amora, całującego Psychę.

Oktawjusz Łabiński pchnął wysokie drzwi, wychodzące na korytarz, i znalazł się w obszernym przedpokoju, gdzie spało kilku lokajów; na jego widok zerwali się, jak podrzuceni sprężyną, i ustawili się wzdłuż ścian z biernością wschodnich niewolników.

Szedł dalej. Za przedpokojem był salon, cały biały i złoty, gdzie nie było nikogo. Oktawjusz pociągnął za dzwonek. Weszła pokojówka.

— Czy pani może mnie przyjąć?

— Pani hrabina właśnie się rozbiera; za chwilę będzie gotowa.

VII

Zostawszy sam z ciałem Oktawjusza de Saville, zajętem przez duszę hrabiego Olafa Łabińskiego, doktor Baltazar Cherbonneau zakrzętnął się koło wrócenia życia tej masie nieruchomej.

W kilka chwil potem Olaf-de Saville wyszedł ni-
by widmo z objęć głębokiego snu lub raczej ka-
talepsji; podniósł się ruchem automatycznym, któ-
rym jeszcze nie kierowała wola.

Przedmioty chwiałały się w jego oczach, wciele-
nia Wiśnu tańczyły po ścianach sarabandę, do-
któr Cherbonneau wydawał mu się za jedno z san-
nyasim z Elefanty; dziwne rzeczy, na które pa-
trzył przed zapadnięciem w nicość magnetyczną,
jeszcze oddziaływały na jego rozum, i bardzo wol-
no wracał do rzeczywistości: był jak człowiek,
którego nagle obudzono z koszmarne go snu, tak,
że wciąż jeszcze w przedmiotach otaczających wi-
dzi same widma, a miedziane kule karniszów zdają
się dlań być gorejącymi oczyma cyklopów.

Powoli ta fantasmagorja ulotniła się, i wszy-
stko przybrało kształty naturalne; pan Baltazar
Cherbonneau z pokutnika indyjskiego stał się znów
zwyczajnym lekarzem, który witał pacjenta banal-
nym uśmiechem:

— Czy pan hrabia jest zadowolony z tych pa-
ru doświadczeń, jakie miałem zaszczyt mu poka-
zać?—rzekł tonem uprzedzającej uniżoności, w któ-
rym ledwo można było zauważyć lekki odcień
ironji.—Śmiem żywić nadzieję, że nie żał. mu te-
go wieczoru i że odjedzie stąd przekonany, iż
wszystko, co opowiadają o magnetyzmie, nie jest
bajką ani oszustwem, jak to sądzi nauka oficjalna.

Olaf-de Saville odpowiedział twierdzącem ski-
nieniem głowy i wyszedł, odprowadzany przez do-

ktora Cherbonneau, który go żegnał przy każdych drzwiach głębokim ukłonem.

Powozik zajechał pod same schody, i dusza małżonka hrabiny Łabińskiej weszła doń wraz z ciałem Oktawjusza de Saville, Olaf nie zdawał sobie sprawy, że to nie była ani jego karetą, ani jego liberją.

Woźnica zapytał, gdzie ma jechać.

— Do domu—odparł Olaf-de Saville, trochę zdziwiony, że nie poznaje głosu zielonego strzelca, który zwykle zadawał mu to pytanie z silnym akcentem węgierskim.

Powóz był wybity ciemno niebieskim adamaszkiem, jego zaś karetą była pokryta atlasem w złote guziki, i hrabia dziwił się tej różnicy, jednocześnie godząc się na nią, jak we śnie, gdy zwykle przedmioty ukazują się pod innemi pozorami, a mimo to nie tracą swej znajomej fizjognomji; czuł również, że jest jakby mniejszy, niż zwykle; poza tem, zdawało mu się że przyszedł do doktora czarno ubrany, gdy tymczasem miał na sobie zarzutkę letnią, jakiej nie było w jego garderobie; umysł jego doznawał dziwnego skrępowania, a myśli jego, tak jasne przedtem, okrywały się jakąś nieznośną mgłą. Przypisując ten stan niezwykłym przeżyciom tego wieczoru, nie badał więcej i, wsunawszy głowę w kąć powozu, oddał się marzeniom, które nie były ni snem, ni jawą.

Ocknął się, gdy koń nagle stanął, a woźnica zawołał:—„Brama!”—otworzył okno, wytknął głowę

nazewnątrz i w świetle latarni ujrzał nieznana ulicę i dom, który nie był jego domem.

— Co, u diabła! gdzieś mnie zawiózł, bydlę?— krzyknął.— Czy to przedmieście świętego Honorjusza, pałac Łabińskich?

— Przepraszam pana: nie zrozumiałem—bąknął furman, popędzając konia we wskazanym kierunku.

Podczas drogi zadawał sobie hrabia szereg pytań, na które nie znajdował odpowiedzi.

Jak się to stało, że jego powóz odjechał bez niego pomimo wyraźnego rozkazu? Jakim sposobem znajduje się w cudzym powozie? Przyszło mu na myśl, że, może, lekka gorączka zmąciła jasność jego sądów albo doktor cudotwórca dał mu podczas snu wdychiwać haszysz, aby tem skuteczniej oddziałać na jego łatwowierność; przypuszczał też, że noc rozproszy owe złudzenia.

Powóz zajechał przed pałac Łabińskich; szwajcar, wezwany, nie chciał otworzyć bramy, mówiąc, że państwo dziś nie przyjmują, że pan wrócił od godziny, a pani udała się do swych apartamentów.

— Czyś ty się upił, bałwanie, czy oszalał? — zawołał Olaf-de Saville, odpychając olbrzyma, który stał na progu wpółluchylonej bramy, jak jeden z tych posągów z brązu, co w bajkach arabskich bronią błędnym rycerzom przystępu do zamków zaczarowanych.

— Pan sam, laskawy panie, upił się albo zwarjował — odparł szwajcar, który z czerwonego stał się siny ze złości.

— Łajdaku! — ryknął Olaf-de Saville — gdybym siebie nie szanował...

— Cicho—albo ci kości połamię i wyrzucę na ulicę!—zawołał olbrzym.—Nie należy ze mną żartować, jeśli się wypilo o dwie butelki szampana za wiele.

Olaf-de Saville, wściekły, odepchnął szwajcara tak mocno, że udało mu się wejść do sieni. Kilku służących, którzy jeszcze nie położyli się spać, nadbiegło, posłyszawszy hałas.

— Wyrzucam cię, zwierzę ordynarne, bandyto, łajdaku! nie pozwolę ci tu nawet przenocować. Idź precz, albo cię zabiję, jak psa wściekłego. Nie każ mi przelewać nikczemnej krwi lokajskiej.

I hrabia, pozbawiony swego ciała, z oczyma, krwią nabiegłemi, z pianą na ustach, z zaciśniętymi pięściami szedł ku olbrzymiemu szwajcarowi, gdy ten pochwycił obie ręce napastnika, zgniótł je w swej jednej i rzekł:

— No, teraz się uspokójmy. Czy to ładnie tak się wstawić, gdy się jest porządnie ubranym? I jeszcze potem urządzać awantury po nocy w przyzwoitym domu? Trzeba być ostrożnym z winem, i to musi być szelma ten, co pana tak urznął! oto dlaczego nie zabiję pana, lecz złożę spokojnie na ulicy, gdzie się już panem zajmie patrol.

— Łajdaki!—zawołał Olaf-de Saville, zwracając się do lokajów—pozwalacie tej kanalji znieważać swego pana, szlachetnego hrabię Łabińskiego!

Na dźwięk tego imienia lokajstwo ryknęło zgodnym śmiechem, ogromnym, homerycznym, konwulsyjnym śmiechem:

— Ten panek uważa siebie za hrabiego Łabińskiego! cha, cha, cha, chi, chi, chi! A to dobre!

Zimny pot oblał skronie Olafa-de Saville. Myśl ostra, jak stal, przeszła mu mózg, uczuł, że mu szpik ścina się w kościach. Czy rozum jego zaćmił się w bezdennym oceanie magnetyzmu, czy też stał się igraszką jakiegoś podstępny djabelskiego?—Żaden z jego lokajów, tak uległych, tak oddanych, nie poznawał go. Czyżby zamienił ciało, jak strój i powóz.

— Abyś pan był pewny, że nie jesteś hrabią Łabińskim—rzekł jeden z najbezczelniejszych—to spójrz tam, oto on sam schodzi, zaalarmowany twym wrzaskiem.

Olaf-de Saville zwrócił oczy w głąb dziedzińca i ujrzał na schodach młodego mężczyznę wytwornych i smukłych kształtów, o twarzy owalnej, oczach czarnych, orlim nosie, który był nim samym albo też widmem, stworzonym przez diabła, podobnem do ostatecznego złudzenia.

Szwajcar puścił mu ręce. Służba ustawiła się pod murem w postawie, pełnej szacunku, z oczyma spuszczonemi, z rękoma przy udach, w zupełnym bezruchu; oddawali temu widmu honory, których odmówili prawdziwemu panu.

Małżonek Praskowji pomimo swego słowiańskiego męstwa doznał niewypowiedzianego lęku

za zbliżeniem się tego Menechma, który, groźniejszy niż ów z teatru, wkraczał w życie realne i czynił niepoznawalnym swego sobowtóra. Przypomniał sobie dawną rodzinną legendę i przeraził się jeszcze bardziej. Ilekroć któryś z Łabińskich miał umrzeć, ostrzegało go o tem zjawisko, we wszystkim do niego podobne. U ludów północnych ujrzyć swego sobowtóra, choćby nawet we śnie, było zawsze złym znakiem i nieuległego wojownika kaukaskiego na widok tej zewnętrznej wizji jego *ja* ogarnął nieprzeparty zabobonny strach; on, co mógł zanurzyć ramię w paszczy armaty, gotowej do wystrzału, zadrżał przed samym sobą.

Oktawjusz-Łabiński podszedł do swego dawnego ciała, gdzie biła się, oburzała i drżała dusza hrabiego, i rzekł doń z wyniosłą lodowatą uprzejmością:

— Przestańże się pan pospolitować z tymi pacholkami. Jeśli chce pan mówić z hrabią Łabińskim, to wiedz, proszę, że przyjmuje codziennie od 12 do 2. Pani hrabina zaś w każdy czwartek jest rada osobom, które jej były przedstawione.

Co powiedziawszy zwolna i dobitnie, fałszywy hrabia oddalił się krokiem spokojnym, i drzwi zamknęły się za nim.

Olafa - de Saville, omdlałego, odniesiono do karetki.

Gdy odzyskał przytomność, spostrzegł, że spoczywa na łóżku, które nie było jego łóżkiem, w po-

koju, w którym nigdy nie był; przy nim stał nieznanym służący, podnosił mu głowę i dawał wachać eter.

— Czy panu już lepiej?—zapytał Jan hrabiego, biorąc go za swego pana.

— Tak—odparł Olaf-de Saville—to było tylko lekkie osłabienie.

— Czy mogę odejść, czy też pozostać, proszę pana?

— Nie, zostaw mnie samego, lecz zanim odejdiesz, zapal świeczniki przy lustrze.

— Czy pan nie obawia się, że jaskrawe światło nie pozwoli mu zasnąć?

— Nie; zresztą, nie chce mi się spać jeszcze.

— Ja się nie będę kładł i, jeśli pan będzie czegoś potrzebował, przybiegnę na pierwszy głos dzwonka — rzekł Jan, zaniepokojony bladością i zmienioną twarzą hrabiego.

Gdy Jan się oddalił, zapaliwszy świece, hrabia podszedł do lustra i w głębokim czystym kryształe ujrzał głowę młodą, łagodną i smutną, o bujnych czarnych włosach, o źrenicach z ciemnego lazuru, o białych policzkach, pokrytych puchem ciemnej jedwabistej brody—głowę nie swoją, która z głębi zwierciadła patrzyła nań ze zdziwieniem. Wyciągnął rękę wtył—nikt za nim nie stał.

Dotknął swych rąk — były szczuplejsze, dłuższe, bardziej żyłaste; na palcu widniał pierścień złoty z topazem, jakiego hrabia nigdy nie po-

siadał. Przeszukał kieszenie i znalazł w nich mały portfel z wizytówkami. Odczytał nazwisko: Oktawjusz de Saville.

Śmiech lokajów w pałacu Łabińskich, pojawienie się jego dwójnika, nieznana fizjognomja, odbijająca się w zwierciadle — to wszystko mogło być ostatecznie złudzeniem chorego mózgu; lecz ten strój, ten pierścień, który oto zdejmował ze swego palca, były dowodem materialnym, dotykalnym, świadkami nieomylnymi. Poza jego świadomością dokonała się w nim zupełna przemiana — to było widoczne; jakiś czarownik lub może demon zabrał mu jego kształt, szlachectwo, imię, całą jego osobowość i zostawił mu jeno duszę bez możności jej okazania.

Przypomniął sobie fantastyczne historie Piotra Schlemila i Nocy Sylwestrowej; lecz utrata cienia lub odbicia nie wpływała na to, by ludzie ich przestali poznawać. Jego położenie było znacznie gorsze, on nie mógł upominać się o swój tytuł hrabiego Łabińskiego w tym kształcie, w którym go uwięziono. Wszyscy go będą uważali za bezczelnego oszusta lub, co najmniej, za warjata. Własna żona nie pozna go, uwiedziona tym kłamliwym pozorem.

Jakże udowodnić swoją tożsamość? Prawda, istnieje tysiąc rzeczy intymnych, tysiąc tajemniczych szczegółów, nieznanych nikomu, i gdyby je przypomniał Praskowji, poznałaby duszę swego męża pod tem przebraniem; lecz cóż znaczy to

odosobnione przekonanie wobec zwartej opinii ogółu?... Był rzeczywiście i całkowicie pozbawiony swego ja.

Inna obawa: czy ta metamorfoza ogranicza się jedynie do zmiany kształtów i rysów, czy też zamieszkał on w ciele innego człowieka? W takim razie co uczyniono z jego ciałem? Czy wrzucono je do dołu z wapnem, czy też stało się własnością śmiałego złodzieja? Sobowtór z pałacu Łabińskich mógł być widmem, przywidzeniem, ale również istotą żywą, która się wdarła do jego skóry, skradzionej mu z piekielną zręcznością przez owego lekarza o wyglądzie fakira.

Myśl straszna zapuściła w jego serce zęby zmii: „Przecież ten fikcyjny hrabia Łabiński, wcielony w mój kształt rękami demona, ten wampir, zamieszkujący teraz mój pałac, któremu są posłuszni moi pachołcy — może w tej chwili stawia swe rozszczepione kopyto na progu pokoju, do którego zawsze wchodziłem z tem samem wzruszeniem, co w pierwszy wieczór, i Praskowja uśmiecha się doń słodko i w boskim rumieńcu kładzie głowę na tem ramieniu, znaczonem pazurem djabła, biorąc za mnie tę larwę zwodniczą, tego wstrętnego syna nocy i piekła. Gdybym tak poleciał i podłożył ogień pod pałac, i z pośród płomieni zakrzyknął do Praskowji: — „Oszukują cię; to nie Olaf, kochany twój, którego trzymasz w objęciach! Nieświadomie popełniasz wstrętną zbrodnię, o której dusza moja pamiętać będzie jeszcze wówczas,

gdy wieczności ręce opadną od przesiewania piasku!”

Płomienie ogarniały mózg hrabiego, wydawał nieartykułowane okrzyki wściekłości, gryzł zaciśnięte pięści, biegał po pokoju, jak dzikie zwierzę. Szaleństwo zaćmiewało tę resztę świadomości, którą jeszcze posiadał; podszedł do toalety Oktawjusza, nalał miednicę pełną wody i zanurzył w niej głowę.

Wróciła mu zimna krew. Powiedział sobie, że czasy magji i czarów minęły; że jedynie śmierć wyzwala duszę z ciała; że niktby się nie ważył obrabować w taki sposób, w samym środku Paryża, polskiego grafa, mającego wielomiljonowy kredyt u Rotszyldów, spowinowaconego z najwyższymi rodami, kochanego męża kobiety, będącej w modzie, odznaczonego orderem świętego Andrzeja pierwszej klasy, i że to wszystko razem jest dość niesmacznym żartem Baltazara Cherbonneau i wyjaśni się w sposób zupełnie naturalny, jak straszyla w romansach Anny Radcliffe.

Złamany znużeniem rzucił się na łóżko Oktawjusza i zasnął snem ciężkim, ciemnym jak śmierć, z którego się nie ocknął nawet wtedy, gdy Jan, sądząc, że pan już wstał, przyniósł listy i gazety.

VIII

Hrabia otworzył oczy i powlókł dokoła badawczem spojrzeniem, ujrzał sypialnię wygodną, lecz

prostą; podłogę okrywał dywan, naśladowujący skórę leoparda; portjery, które właśnie Jan rozsunął, zasłaniały okna i drzwi; ściany pokryte były zielonym papierem o odcieniu aksamitu. Na kominku z białego marmuru w błękitnawe żyłki stał zegar, zrobiony z jednego kawałka czarnego marmuru, ze srebrną statuetką gabijskiej Diany na górze; obok były dwie starożytne czary, również srebrne; lustro weneckie, w którym wczoraj hrabia ujrzał, że nie posiada swych zwykłych rysów, i portret starszej damy, zapewne matki Oktawjusza, malowany przez Flandrina, stanowiły jedyną ozdobę tego pokoju, nieco surowego i smutnego; sofa, fotel wolterowski koło kominka, biurko, zavalone papierami i książkami, tworzyły umeblowanie wygodne, lecz w niczem nie przypominające okazałości pałacu Łabińskich.

— Pan wstaje?—zapytał Jan sciszonym głosem, który sobie wyrobił podczas choroby Oktawjusza, i podał hrabiemu koszulę kolorową, spodnie flanelowe i algierską gandurę—zwykły strój poranny swego pana.

Hrabia myślał z przykrością o wkładaniu na siebie cudzych rzeczy, lecz nie chcąc zostać nagim, postawił nogi na jedwabistej skórze niedźwiedzia, leżącej przed łóżkiem.

Toaleta była wrychle ukończona, i Jan, ani na chwilę nie podejrzewając tożsamości osoby fałszywego Oktawjusza de Saville, któremu pomagał się ubierać, zapytał:

— Kiedy mam podać śniadanie?

— O zwykłej porze—odparł hrabia, który, aby nie stawiać przeszkód na drodze do odkrycia własnej osobowości, postanowił zewnętrznie pogodzić się z niewytlumaczoną przemianą.

Jan wyszedł, a Olaf de Saville otworzył dwa listy, przyniesione razem z gazetami, w nadziei, że znajdzie tam jakieś wskazówki; pierwszy zawierał przyjacielskie wymówki i skarżył się na zerwane bez powodu dobre stosunki towarzyskie; podpisane było jakieś imię nieznane. Drugi był od rejenta Oktawjusza z wezwaniem do natychmiastowego podjęcia renty kwartalnej albo też wskazania, co należy czynić z pieniędzmi.

— Ach! więc Oktawjusz de Saville, którego skórę noszę mimowoli, istnieje rzeczywiście; nie jest to więc postać fantastyczna, stworzona przez Achima von Arnim lub Klemensa Brentano; posiada mieszkanie, przyjaciół, rejenta, renty, słowem wszystko, co stanowi stan cywilny dżentelmana. A jednak zdaje mi się, że wciąż jeszcze jestem hrabią Olafem Łabińskim.

Spojrzawszy w lustro, przekonał się, że tego poglądu nikt z nim dzielić nie będzie; czy to w jasny dzień, czy to w niepewnym świetle świec odbicie było identyczne.

W dalszem zwiedzaniu pokoju otworzył szuflady biurka; w jednej znalazł dokumenty, dwa banknoty tysiącfrankowe i pięćdziesiąt ludwików, które bez skrupułów zabrał na potrzeby kampanji,

jaką zamierzał rozpocząć, w drugiej zaś—portfel z rosyjskiej skóry, zamykany na sekretną klamrę.

Zjawił się Jan z oświadczeniem, że przyszedł pan Alfred Humbert, który zresztą, nie czekając na odpowiedź, sam wbiegł do pokoju z poufałością starego przyjaciela.

— Dzieńdobry, Oktawjuszu — rzekł gość, piękny, młody człowiek o usposobieniu serdecznem i szczerem—co porabiasz, co się z tobą dzieje, jesteś żywy czy umarły? Nigdzie ciebie nie widać, napisać do ciebie—nie odpowiadasz. Powinienbym się na ciebie gniewać, ale że moja miłość własna nie jest zbyt drażliwa, więc wolę ci uściśnąć rękę. Tam, do diabła! niepodobna pozwolić umrzeć przyjacielowi z ławy szkolnej w tem ponurem mieszkaniu, podobnem do celi klasztornej Karola V. Zdaje ci się, że jesteś chory, a ty się poprostu nudzisz — oto wszystko; ale ja cię zmuszę, żebyś się rozerwał, i przemocą zaprowadzę cię na wesołe śniadanie, na którym Gustaw Raimbaud ma pogrzebać swą wolność kawalerską.

Wyglaszając tę tyradę napół z miną obrażoną, napół komiczną, potrząsał silnie, zwyczajem angielskim, ręką hrabiego, którą trzymał w dłoni.

— Nie — odpowiedział małżonek Praskowji, wchodząc w swoją rolę—jestem dziś więcej cierpiący, niż zwykle; nie jestem w humorze; wniosę między was smutek i przymus.

— W istocie, jesteś blady i jakby zmęczony. W takim razie kiedy indziej! Uciekam, albowiem

spóźniłem się o trzy tuziny ostryg i butelkę Sauterne'u. Raimbaud będzie się czuł dotknięty, żeś nie przyszedł.

Ta wizyta zwiększyła jeszcze smutek hrabiego.

Jan brał go za swego pana, Alfred—za swego przyjaciela. Brak mu było jeszcze jednego dowodu. Drzwi się otworzyły; do pokoju weszła dama, w której puklach widniały srebrne nitki, podobna bardzo do portretu, wiszącego na ścianie. Usiadła na sofie, rzekła:

— Jak się czujesz, mój biedny Oktawjuszu? Jan powiedział mi, że wczoraj wróciłeś późno, w stanie niepokojącej słabości; szanuj się, drogi synu, bo wiesz, jak bardzo cię kocham, pomimo całej zgryzoty, jaką mi przyczynia ten twój niewytłumaczony smutek, którego tajemnicy nigdy nie chciałeś mi zdradzić.

— Niech się mama nie boi, to nic poważnego—odparł Olaf de Saville — dzisiaj jest mi o wiele lepiej.

Pani de Saville, pocieszona, wstała i wyszła, nie chcąc krępować swego syna, który nie lubił, aby mu zbyt długo zakłócano samotność.

— A więc jestem już naprawdę Oktawjuszem de Saville!—zawołał hrabia po wyjściu starej damy—jego matka poznała mnie i nie domyśliła się obcej duszy pod skórą syna. Być może, na zawsze jestem zapakowany w tę powłokę; co za dziwne więzienie dla ducha — cudze ciało!

Cieężko przyjdzie wyrzec się tytułu hrabiego

Olafa Łabińskiego, swej żony, majątku, herbu i prowadzić nędzną egzystencję mieszczańską. Och! żeby z niej wyleźć, rozedrzeć tę skórę Nessusa, która się uczepiła mojego ja, i oddam ją w strzępach pierwotnemu właścicielowi. Możeby wrócić do pałacu? Nie!—Wywołam znów niepotrzebny skandal, i szwajcar wyrzuci mnie za drzwi, albowiem nie mam swej dawnej siły w tym szlafroku schorowanego człowieka; trzeba się rozglądać, wybadać, poznać trochę życie tego Oktawjusza de Saville, który jest mną obecnie.

Próbował otworzyć portfel. Sprężyna, którą przypadkiem nacisnął, ustąpiła—i hrabia wyjął ze skórzanych przegródek najpierw różne papiery, zapelnione pismem ciasnem i cienkiem, wkońcu ćwiartkę welinowego papieru; na niej ręką niewprawną, lecz wierną narysowano z pamięci portret hrabiny Praskowji Łabińskiej, tak podobny, że niesposób było nie poznać go na pierwszy rzut oka.

Hrabia osłupiał wobec tego odkrycia. Po zdziwieniu nastąpił szalony atak zazdrości; jakim sposobem portret hrabiny znalazł się w sekretnym portfelu tego nieznanego młodzieńca, skąd przyszedł, kto go zrobił, kto go dał? Czyż to Praskowja, którą czcił tak nabożnie, zstąpiła z nieba miłości, aby się uwikłać w pospolitą intrygę? Jakież piekielne szyderstwo uosabiał on, małżonek, uwięziony w ciele kochanka kobiety, którą dotychczas miał za tak czystą?

Był mężem, teraz stawał się kochankiem! Sarkastyczna metamorfoza, zamiana ról, od której można oszaleć; sam siebie mógł teraz zdradzać, być jednocześnie Klitandrem i Grzegorzem Dyndałą!

Wszystkie te myśli kotłowały się i brzęczały w jego mózgu; czuł, że go rozum zaczyna opuszczać, i czynił ostateczne wysiłki woli, aby odzyskać nieco spokoju. Nie słuchając Jana, który przyszedł oświadczyć, że śniadanie podano, z nerwowem drżeniem badał dalej zawartość tajemniczego portfela.

Zapisane kartki stanowiły rodzaj dzienniczka psychologicznego, który autor porzucał i znów otwierał w różnych epokach życia; oto kilka urywków, jakie hrabia pochłoniął z pełną trwogą ciekawością.

„Nigdy mnie ona kochać nie będzie, nigdy, nigdy! Wyczytałem w jej słodkich oczach to słowo tak okrutne, że Dante nie mógł znaleźć bardziej twardego na napis nad spiżową bramą Miasta Boleści: Porzućcie wszelką nadzieję. Cóż zawiniłem Bogu, aby być przeklętym za życia? Jutro, pojutrze, zawsze będzie tak samo! Ciała niebieskie mogą przecinać swe orbity, gwiazdy mogą tworzyć konstelacje, a w mojem życiu nic się nie zmieni. Jednem słowem rozwiała marzenie; jednym ruchem złamała skrzydła chimerze. Bajeczne kombinacje niemożliwości nie dają mi żadnej szansy; cyfry, rzucone choćby miliard razy na koło

szczęścia, nie wyjdą—niema numeru, któryby mi przyniósł wygraną!”

„Jakież jestem nieszczęśliwy! wiem, że raj jest dla mnie zamknięty, i siedzę odrętwiały na progu, plecami oparty o bramę, która się nigdy nie otworzy, i płaczę w milczeniu, bez wstrząśnień, bez wysiłku, jakgdyby oczy moje były źródłem żywej wody. Nie mam odwagi wstać i pograżyć się w olbrzymiej pustyni lub w gwałtownym Babilonie ludzkim.“

„Nieraz, w nocy, nie mogąc spać, myślę o Praskowji: kiedy śpię, marzę o niej. O! jakaż piękna była dziś w ogrodzie willi Salviatic, we Florencji! — Ta biała suknia i te czarne wstążki—to było uroczne i jednocześnie posępne! Białe dla niej, a czarne dla mnie!—Chwilami wstążki, poruszone wiatrem, tworzyły krzyż na tem tle olśniewającej białości; jakiś duch niewidzialny pocichu odprawił mszę żałobną po mojem sercu.“

„Gdyby jakaś niesłychana katastrofa włożyła mi na czoło koronę cesarzy i kalifów, gdyby ziemia wypruwała dla mnie swe żyły złota, gdybym mógł zejść w błyszczące chodniki kopalni diamentów w Golkondzie lub w Wisapur, gdyby pod memi palcami dźwięczała lutnia Byrona, gdyby najdoskonalsze arcydzieła sztuki starożytnej i nowoczesnej mnie zawdzięczały swą piękność, gdybym odkrył jakiś świat nieznany — anibym się na krok do niej nie zbliżył!“

„Czemże jest przeznaczenie! Chciałem jechać

do Konstantynopola i nie byłbym jej spotkał; a tak siedzę we Florencji, widzę ją i umieram.“

„Byłbym się zabił; lecz ona oddycha tem samem powietrzem, w którem żyjemy, i kto wie, czy moich spragnionych warg—o szczęście niewypowiedziane! — nie musnie czasem jakiś daleki powiew tego słodkiego oddechu; zresztą, duszy mojej zbrodniczej wyznaczonoby jakąś samotną gwiazdę na mieszkanie, i nie miałbym nadziei, że na tamtym świecie ona mnie pokocha.—Być i tam w rozłące: ona w raju, ja w piekle — to myśl nie do zniesienia!“

„Komuż to się zda na co, że ja muszę właśnie kochać tę jedną kobietę, która mnie kochać nie może? Inne, o których mówią, że są ładne, a przede wszystkim są wolne, uśmiechały się do mnie swym najtkliwszym uśmiechem i zdawały się prosić o wyznanie, które nie przychodziło. O! jakież on szczęśliwy! Jakież wzniosły musiał być jego żywot poprzedni, skoro go Bóg tak nagradza, dając mu ten dar wspaniały: tę miłość!“

...Zbytecznem było czytać dalej. Podejrzenie, jakie hrabia mógł powziąć na widok portretu Praskowji, rozwiało się od pierwszych słów tej smutnej spowiedzi. Zrozumiał, że ten ukochany obraz został wypieszczony zdala od modelu z niezmordowaną cierpliwością nieszczęśliwej miłości i że to jest madonna z małej mistycznej kapliczki, przed którą pada na kolana beznadziejne uwielbienie.

— Lecz jeśli ten Oktawjusz zawarł układ z djabłem, aby mi odebrać moje ciało i pod tą formą zdobyć miłość Praskowji!

To przypuszczenie w dziewiętnastym wieku było tak nieprawdopodobne, że je natychmiast porzucił, mimo że go wewnątrz głęboko ta myśl trapiła.

Uśmiechnął się z własnej łatwowierności, zjadł wystygłe śniadanie, które mu podał Jan, ubrał się i kazał sprowadzić powóz.

Gdy zaprzągnięto, podał adres doktora Baltazara Cherbonneau; przeszedł znów przez te sale, gdzie wszedł wczoraj jako hrabia Olaf-Łabiński, a wyszedł, uznany przez cały świat za Oktawjusza de Saville. Doktor siedział swoim zwyczajem na sofie w ustronnym pokoju, trzymając nogę ręką, i zdawał się być zatopiony w głębokiej zadumie.

Na odgłos kroków hrabiego doktor podniósł głowę.

— A, to pan, drogi Oktawjuszu; chciałem zająć do pana; ale to dobry znak, gdy chory sam przychodzi do swego lekarza.

— Wciąż ten Oktawjusz! — zawołał hrabia — przyjdzie mi oszaleć z wściekłości.

Poczem, skrzyżowawszy ramiona, usiadł naprzeciw doktora i, patrząc nań z groźnym uporem:

— Pan wie dobrze, doktorze Cherbonneau, że nie jestem żadnym Oktawjuszem, lecz hrabią Olafem Łabińskim, i nie dalej jak wczoraj wieczór

ukradłeś mi pan moją skórę zapomocą sztuczek czarodziejskich.

Na te słowa doktor wybuchnął głośnym śmiechem, przewrócił się na poduszki i trzymał się za boki, aby pohamować konwulsje wesołości.

— Niech doktor uspokoi tę radość niewczesną, której może pożałować. Mówię zupełnie poważnie.

— Tem gorzej, tem gorzej! to świadczy jedynie, że anestezja i hipochondrja, na którą pana leczyłem, przechodzi poprostu w szaleństwo. Trzeba będzie zmienić system, oto wszystko.

— Nie wiem sam, djabelski doktorze, dlaczego dotychczas nie zadusiłem cię własnymi dłońmi! — zawołał hrabia, idąc ku panu Cherbonneau.

Doktor uśmiechnął się z groźby hrabiego i dotknął go końcem stalowej laseczki.

Olaf-de Saville uczuł straszliwy wstrząs i zdawało mu się, że ma ramię złamane.

— O, posiadamy na szczęście środki do uspokojenia chorych, gdy zaczną swawolić — rzekł, obrzucając go tem zimnem jak tusz spojrzeniem, które poskramia szaleńców i lwy przymusza do uległości. — Niech pan wraca do siebie i każe sobie przyrzadzić kąpiel; podniecenie natychmiast ustąpi.

Olaf-de Saville, ogłuszony wstrząsem elektrycznym, wyszedł od doktora Cherbonneau jeszcze bardziej niepewny i bardziej niespokojny niż kiedykolwiek. Kazał się zawieźć do Passy, do doktora B., z zamiarem zapytania go o radę.

— Jestem—rzekł do słynnego lekarza—w szponach dziwnej halucynacji. Gdy przeglądałam się w lustrze, widzę, że twarz moja nie ma zwykłych rysów; kształty otaczających mnie przedmiotów uległy zmianie, nie poznaję ani ścian, ani sprzętów w moim pokoju; wydaje mi się, jakobym był kimś innym.

— Jakim się pan widzi?—zapytał lekarz—błąd może pochodzić od oczu albo od mózgu.

— Widzę się z czarnymi włosami, z oczyma ciemno-niebieskimi, z twarzą bladą, otoczoną brodą.

— Rysopis pasportowy nie mógłby być bardziej dokładny; nie cierpi pan ani na halucynację, ani na zboczenie wzroku. Wygląda pan tak w istocie.

— Ależ nie! W istocie mam włosy blond, oczy czarne, cerę śniadą i wąs przycięty po węgiersku.

— Tu już—odparł doktor—zaczyna się lekkie osłabienie zdolności umysłowych.

— Ale przecież ja nie jestem warjatem.

— Bezwątpienia. Tylko mądrzy ludzie przychodzą do mnie sami. Jakieś zmęczenie, jakiś nadmiar pracy lub rozkoszy wywołał z pewnością ten stan choroby. Pan się myli: wizja pańska jest rzeczywistą, niema w niej nic chimerycznego; zamiast być blondynem, który sam siebie widzi brunetem, pan jesteś brunetem, który sądzi, że jest blondynem.

— Jednak jestem najzupełniej pewny, że jestem

hrabią Olafem Łabińskim, a cały świat od wczoraj nazywa mnie Oktawjuszem de Saville.

— Właśnie to powiadam—odparł lekarz.— Jesteś pan Oktawjuszem de Saville, a wyobrażasz sobie, że jesteś hrabią Łabińskim, którego raz widziałem, i przypominam sobie, że jest w istocie blondynem. To tłumaczy doskonale, dlaczego widzi pan inną postać w lustrze; ta postać jest pańską; ale nie odpowiada pańskiemu przekonaniu i powoduje zdziwienie. Niech się pan zastanowi nad tem, że wszyscy nazywają pana Oktawjuszem de Saville, a więc nie podzielają pańskiego zapatrywania. Niechaj pan tu spędzi jakie dwa tygodnie: kąpiele, wypoczynek, przechadzki w cieniu starych drzew rozproszą te myśli uparte.

Hrabia pochylił głowę i obiecał przyjść znowu. Nie wiedział już, co ma sądzić. Wrócił do mieszkania przy ulicy świętego Łazarza i zobaczył przypadkiem zaproszenie hrabiny Łabińskiej, które Oktawjusz pokazywał panu Cherbonneau.

— Z tym talizmanem—zawołał—będę ją mógł jutro zobaczyć!

IX

Kiedy lokaje wynieśli do powozu prawdziwego hrabiego Łabińskiego, którego wygnał z jego rajy fałszywy stróż, stojący tam na progu, Oktawjusz przemieniony wszedł do biało-złotego saloniku, aby poczekać na hrabinę.

Oparty o biały marmur kominka, którego otwór

zapełniony był kwiatami, ujrzał swoje odbicie w lustrze, ustawionem na konsoli o bogato zdobnych, złożonych nogach. Chociaż znał tajemnicę swej przemiany, zaledwie mógł uwierzyć, że ten obraz, tak różny od jego postaci, był jednak jego odbiciem, i nie mógł oczu oderwać od tej dziwnej zjawy. Patrzył na siebie i widział kogo innego. Mimowolnie obejrzał się, czy hrabia Olaf nie opiera się równocześnie o grzyms pieca i czy to nie jego odbicie widać w lustrze; ale nie — był najzupełniej sam; doktor Cherbonneau sumienie wywiązał się z zadania.

W kilka minut potem Oktawjusz-Łabiński nie myślał już o cudownym awatarze, dzięki któremu dusza jego przeszła w ciało małżonka Praskowji; myśli jego skierowały się ku rzeczom bardziej odpowiednim do jego sytuacji. Stał się ów niewiarygodny fakt, o którym marzyć nie śmiał kołysany najbardziej chimeryczną nadzieją! Oto za chwilę stanie przed tem cudnem ubóstwianem stworzeniem, i ona go nie odepchnie!

Ze zbliżeniem się tej jedynej chwili dusza jego doznawała straszliwych niepokojów; nieśmiałość prawdziwej miłości rodziła taką obawę, jakgdyby dusza ubrana była wciąż jeszcze we wzgardzony kształt Oktawjusza de Saville.

Wejście pokojówki położyło kres tym zgiełkliwym myślom. Na jej widok nie mógł opanować nerwowego ruchu, i wszystka krew spłynęła mu do serca, gdy posłyszał słowa:

— Pani hrabina może już przyjąć jaśnie pana. Oktawjusz-Łabiński poszedł za pokojówką, albowiem, nie znając urządzenia pałacu, nie chciał się zdradzić niepewnością kroków.

Pokojówka wprowadziła go do pokoju dość przestronnego, który był gotownią, urządzoną z najbardziej wyszukanymprezychem.

Szereg szaf z kosztownego drzewa, rzeźbionych przez Knechta i Lieuharta, mających odrzwia przedzielone krętymi kolumnami, dokoła których wiły się spiralnie lekkie gałązki, z liśćmi w kształcie serca i kwiatami jak dzwonki—tworzył rodzaj boazerji architekturnej, portyk kapryśnego porządku, niezwykle wytworny i doskonale wykonany; w tych szafach wisiały rzędem suknie z aksamitu i mory, kaszmiry, pelerynki, koronki, futra sobole, lisy niebieskie, kapelusze o kształtach tysiącznych—wszystkie powaby ładnej kobiety.

Naprzeciw powtarzał się ten sam motyw, z tą jedynie różnicą, że były tam lustra na zawiasach, tak urządzone, iż można się było przeglądać en face, z profilu, z tyłu i ocenić efekt gorsetu lub uczesania.

Przy trzeciej ścianie była długa toaleta, wyłożona alabastrem i onyksem, gdzie ze srebrnych kranów płynęła woda gorąca lub zimna do wielkich mis japońskich, ujętych w obręcze z tego samego metalu; flakony z czeskiego szkła, które w blasku świec lśniły jak diamenty i rubiny, zawierały esencje i perfumy.

Ściany i sufit były obite aksamitem koloru wody morskiej niby wewnątrz puzderka. Gruby dywan smyrneński w odpowiednio miękkim tonie pokrywał podłogę jakby warstwą waty.

W pośrodku pokoju, na podstawie, wyłożonej zielonym aksamitem, stała wielka skrzynia dziwaczego kształtu, z cyzelowanej stali korassańskiej, pokrytej tak zawilemi arabeskami, że ozdoby sali poselskiej w Alhembrze wydałyby się przy nich zdumiewająco proste. Zdawało się, że sztuka wschodnia wypowiedziała swe ostatnie słowo w tej cudownej robocie, w której musiały brać udział palce jakiejś wróżki.

W tej skrzyni przechowywała hrabina Łabińska swe kosztowności, godne królowej, które jednak wkładała rzadko, słusznie sądząc, że nie są tak piękne, jak ciało, które zakrywają. Była zbyt piękną, aby potrzebowała być bogatą; mówił jej o tem instynkt niewieści. Wyprowadzała je na światło jedynie w chwilach uroczystych, gdy dziedziczny przepych domu Łabińskich miał się ukazać w całej wspaniałości.

Koło okna siedziała przy lustrze hrabina Praskowja Łabińska, promieniejąca świeżością i urodą. Burnus tunezyjski, idealnie cienki, w błękitne i białe pasy, owijał ją, jak lekki obłok; powiewna materja zsunęła się na aksamit ramion i pozwalała dojrzeć szyję, przy której śnieżna szyja labędzia wydałaby się szarą. Pomiedzy faldami kipiwały koronki batystowego penjuaru, stroju nocnego, któ-

rego nie podtrzymywał żaden pas. Włosy były rozpuszczone i opadały na plecy obfitą kaskadą niby płaszcz cesarzowej.

Owe frendzle płynnego złota, z których Wenus Afrodyta wyciskała perły, klęcząc w swej muszli perłowej, gdy wyszła z lazurów jońskich niby kwiat morski—nie były ani tak jasne, ani tak obfite, ani tak ciężkie! Zmieszajcie ambre tycjanowską i srebro Pawła z Werony ze złotym werniksem Rembrandta: przepuście słońce przez topaz, a jeszcze nie otrzymacie cudownego tonu tych przepysznych włosów, które zdawały się nie chłonać, lecz same rzucać światło, i godniejsze były od warkoczy Bereniki, aby błyszczeć jako nowa konstelacja wśród starych gwiazd!

Dwie służące dzieliły je, gładziły, skręcały i układały w ciasne pukle, aby nie zawadzały na poduszce.

Podczas tej delikatnej operacji hrabina podrzuciła końcem nogi pantofel z białego aksamitu, haftowanego złotem, tak mały, że pozazdrościłyby go jej odaliski Padyszacha. Od czasu do czasu, odrzucając jedwabiste fałdy burnusa, odsłaniała białe ramię i odpychała ręką kilka niesfornych włosów, czyniąc to ruchem, pełnym figlarnego wdzięku.

W tej pozie niedbalej przypominała owe miłe kobietki, zajęte toaletą, na wazach greckich, których czysty i słodki zarys, piękność młoda i lekka są nie do naśladowania; była tysiąc razy bar-

dziej uroczą, niż w ogrodzie willi Salviatic w Florencji; i gdyby Oktawjusz nie był już szalenie zakochany, oszalałby z miłości właśnie w tej chwili; lecz na szczęście, niepodobna nic dodać do nieskończoności.

Na ten widok Oktawjusz-Łabiński, jakby zdjęty strachem, uczuł, że mu kolana drżą i uginają się pod nim. Przed oczami zaczęły mu latać czerwone płomienie. Piękność tej kobiety obracała go w kamień, jak spojrzenie Meduzy.

Zdobyl się jednak na odwagę, mówiąc sobie, że te maniery, pełne przestachu i ogłupienia, dobre są dla odtrąconego kochanka, lecz zupełnie śmieszne u małżonka, choćby nie wiem jak był jeszcze zakochany w swej żonie — podszedł tedy do hrabiny krokiem dość stanowczym.

— Ach! to ty, Ola! Tak późno przychodzisz dzisiaj! — rzekła i, nie odwracając głowy, podała mu swą piękną rękę.

Oktawjusz-Łabiński ujął tę rękę, bardziej delikatną i świeższą od kwiatu, podniósł ją do ust i wycisnął na niej długi, gorący pocałunek — cała jego dusza skupiła się w tem małym miejscu.

Nie wiemy, jaki instynkt boskiej wstydlivości, jaka nieświadoma intuicja serca obudziła czujność hrabiny: czerwona chmura okryła nagle jej twarz, szyję i ramiona, które nabrały tego odcienia, jakim się barwi na szczytach gór dziewiczy śnieg pod pierwszym pocałunkiem słońca. Zadrżała i cofnęła z wolna rękę, napół obrażona, napół

ze wstydem; usta Oktawjusza czyniły wrażenie rozpalonego żelaza. Atoli szybko się opanowała i uśmiechnęła się z własnego dzieciństwa.

— Nie odpowiadasz, drogi Olafie; czy wiesz, że to już sześć godzin, odkąd cię nie widziałam; ty mnie zaniedbujesz — rzekła tonem wymówki.
— Dawniej nie porzuciłbyś mnie na cały długi wieczór. Czy tylko o mnie myślałeś?

— Zawsze — odparł Oktawjusz-Labiński.

— O, nie; nie zawsze. Ja wiem, kiedy myślisz o mnie, nawet gdy jesteś daleko. Naprzykład, dziś wieczór, byłam sama, siedziałam przy fortepianie i grałam Webera, kojąc muzyką moją tęsknotę; dusza twoja unosiła się koło mnie przez kilka minut, odczułam ją w zamęcie dźwięków; potem, z ostatnim akordem, niewiedomo gdzie uleciała i nie wróciła więcej. Nie kłam, wiem na pewno, co mówię.

W istocie Praskowja nie myliła się: była to właśnie chwila, kiedy hrabia Olaf Labiński pochylał się nad szklanką wody magicznej, wywołując ze wszystkich sił ześrodkowanej myśli ubóstwiany obraz. Od tej zaś chwili hrabia, zatopiony w bezdennym oceanie snu magnetycznego, nie myślał, nie czuł, nie objawiał woli.

Kobiety, ukończywszy nocną toaletę hrabiny, odeszły; Oktawjusz-Labiński wciąż jeszcze stał, patrząc na Praskowję płomiennem spojrzeniem. Zmieszana tym wzrokiem, który ją palił, hrabina owinęła się w burnus, jak Polymnja w swą dra-

perję. Tylko głowa wystawała ponad białe i niebieskie fałdy — niespokojne, czarujące.

Chociaż żadne oko ludzkie, nawet najbardziej przenikliwe, nie mogłoby odgadnąć tajemniczego przeniesienia dusz, jakiego dokonał doktor Cherbouneau zapomocą formuły świętego Brama-Logum, Praskowja nie poznawała w oczach Oktawjusza-Labińskiego zwykłego spojrzenia Olafa, spojrzenia miłości czystej, spokojnej, równej, wiecznej jak miłość aniołów—ziemska namiętność płonęła w tem spojrzeniu, które ją mieszało i kazało się jej rumienić.

Nie wiedziała, co się stało, lecz czuła, że się coś stało. Tysiąc dziwnych podejrzeń przeszło jej przez myśl: czy nie była ona dla Olafa niczem więcej, jak zwykłą kobietą, pożądaną dla swej piękności, jak kurtyzana? czyli ta wzniosła jedność ich dusz została zerwana jakimś dysonansem, którego ona nie знаła? Czy Olaf kochał inną? czy zepsucie Paryża splugawiło to czyste serce?

Zadawała sobie te pytania, jedno po drugim, nie znajdując na nie zadawalniającej odpowiedzi, i jednocześnie mówiła sobie, że jest głupia; ale w głębi duszy czuła, że ma słuszość. Niepojęty strach ją ogarniał, jakgdyby była w obliczu nieznanego niebezpieczeństwa, które odgadnąć może jedynie ów drugi wzrok duszy — lecz popełniamy zawsze ten błąd, że go nie słuchamy.

Wstała wzburzona i zdenerwowana i skierowała się ku drzwiom swej sypialni. Fałszywy hra-

bia towarzyszył jej, obejmując ramieniem stan, jak to czyni Otello w sztuce Szekspira, ilekroć odpro-
wadza Desdemonę; kiedy stanęła na progu, odwró-
ciła się, zatrzymała na chwilę, biała i zimna jak
posąg, rzuciła przerażone spojrzenie na młodego
człowieka, weszła i szybko zamknęła drzwi na
zasuwkę.

— Spojrzenie Oktawjusza! — zawołała i padła
wółzemdlona na kozetkę.

Kiedy wróciła do przytomności:

— Jak się to dzieje—zapytała sama siebie—że
to spojrzenie, którego nigdy nie mogłam zapomnieć,
błyszczący dziś w oczach Olafa? Skądże ten pło-
mień ponury i rozpaczliwy w źrenicach mego mę-
ża? Czyby Oktawjusz umarł? Czy to jego dusza
stanęła na chwilę przede mną, aby przed opu-
szczeniem ziemi pożegnać się raz ostatni? Olaf! Olaf!
jeśli się omyliłam, jeśli uległam bezpodstawnej
bojaźni, ty mi to wybaczysz, albowiem gdybym
cię przyjęła dziś wieczór, miałabym wrażenie, że
oddaję się komu innemu.

Hrabina, upewniwszy się, że drzwi zamknięte,
zapaliła lampę, zwieszającą się z pulapu, zagrze-
bała się w swem łóżku, jak spłoszone dziecko,
z uczuciem nieokreślonej trwogi i zasnęła dopie-
ro nad ranem.

Marzenia dziwne i bez związku dręczyły ją w
czasie niespokojnego snu. Oczy płomienne—oczy
Oktawjusza—wyglądały ku niej jakby z poza mgły,
pełne ognia, a jednocześnie w stopach łóżka sie-

działa skulona jakaś postać, czarna, pomarszczona i mruczała słowa w nieznanym języku; hrabia Olaf pojawił się również w tych snach, ale odziany w kształt zupełnie obcy.

Nie będziemy się starali odmalować zakłopotania Oktawjusza, gdy znalazł się przed zamkniętymi drzwiami i posłyszał zgrzyt zasuwki. Ostatnia jego nadzieja upadła. Jakże to! uciekł się do środków strasznych, dziwnych, oddał się w ręce czarodzieja, kto wie, czy nie demona, postawił na kartę swe życie i swą duszę—wszystko, aby zdobyć tę kobietę, a ona mu się wymyka!

Sztuczki indyjskie okazały się zawodne. Odepchnęła go i jako kochanka, i jako męża; nieugięta czystość Praskowji obracała wniwecz najpiekniejsze machinacje. Na progu sypialni stanęła przed nim jak biały anioł Swedenborga, rażący piorunem złego ducha.

Nie mógł pozostać przez całą noc w tem śmiesznem położeniu; zaczął szukać apartamentu hrabiego i na końcu amfilady ujrzał pokój, gdzie wznosiło się łóżko na słupach hebanowych, zasłonięte firankami, na których między kwiatami i arabeskami wyhaftowano herby. Panoplie wschodniej broni, pancerze i hełmy rycerskie, na które padało światło lampy, rozsypywały w cieniu blaski niepewne; po ścianach migotały skóry czeskie, wytłaczane złotem. Trzy lub cztery wielkie rzeźbione fotele, skrzynia, której małe figurki opowiadały jakąś historję, dopełniały tego umeblowania owia-

nego jakimś duchem feudalnym, godnym wielkiej sali gotyckiego zamczyska. Nie było w tem jednak naśladownictwa mody, lecz pietyzm dla odległych pamiątek. Pokój ów przypominał mu ten, w którym mieszkał jako dziecko u matki, i chociaż nieraz wyśmiewano te dekoracje jakby z piątego aktu krwawego dramatu — nie chciał w nich nic zmienić.

Oktawjusz-Łabiński, wycieńczony zmęczeniem i przejściami całego dnia, rzucił się na łóżko i zasnął, przeklinając doktora Baltazara Cherbouneau. Na szczęście dzień przyniósł mu weselsze myśli; powiedział sobie, że odtąd będzie się zachowywał bardziej wstrzemięźliwie i nabierze manier męża; z pomocą kamerdynera hrabiego ubrał się starannie i spokojnym krokiem udał się do jadalni, gdzie hrabina czekała nań ze śniadaniem.

X

Oktawjusz-Łabiński szedł krok w krok za kamerdynerem, gdyż nie wiedział, gdzie jest jadalnia w tym domu, którego zdał się być panem; jadalnia była na parterze—obszerny pokój z oknami na dziedziniec w stylu szlacheckim i surowym, mającym jednocześnie coś z dworu i opactwa; obramienia dębowe w tonie ciepłym i bogatym, podzielone na części symetryczne, sięgały aż do pułapu, gdzie przecinające się belki tworzyły sześciokątne kasetony, po których błękitne pełzały

delikatne złote arabeski; na ścianach, ujętych w boazerje, Filip Rousseau odtworzył cztery pory roku, symbolizując je nie zapomocą figur mitologicznych, lecz jakby apoteozą martwej natury, odpowiedniej do każdej pory roku; sceny myśliwskie pendzla Jodiera tworzyły pendant do martwej natury Rousseau'a, a nad każdym obrazem lśniły niby dyski puklerza wielkie misy Bernarda Palissy czy Leonarda de Limoges, porcelana japońska, majolika, ciekawe wyroby arabskich zduńców, których powierzchnie mieniły się wszystkimi barwami tęczy; lby jeleni, rogi żubrów ustępowały miejsca fajansom.

W dwóch rogach sali stały olbrzymie, jak ołtarz hiszpański, półki, które architekturą i rzeźbą mogły współzawodniczyć z najpiękniejszymi pracami Berraguete'a, Cornejo Duque'a, Verleuggena; w ich wnętrzu lśniły starożytne srebra rodu Łabińskich: dzbanki o uszkach fantastycznych, staroświeckie solniczki, roztruchany, kubki— ozdoby stołu, cudowne w rysunku, stworzone dziwną fantazją niemieckich złotników, godne stanąć w skarbcu drezdeńskim.

Obok starożytnych sreber roztaczały swe blaski wyroby współczesnego złotnictwa, arcydzieła Wagnera, Duponchela, Rudolphiego, Froment Meurice'a, jaskrawe przybory do herbaty z figurkami Feuchère'a, Vechte'a, tace, ozdobione czarną emalją; cebrzyki do szampana, pokryte płaskorzeźbami o motywach bakchicznych, zakończone

uszkami z liści winorośli; naczynia do grzania potraw, zgrabne jak dynarki pompejańskie; żeby już nie wymieniać kryształów czeskich, szkła we-neckiego, sewrskich i starosaskich serwisów.

Dębowe krzesła, wybite zielonym safjanem, stały wzdłuż ścian, a na stół o nogach rzeźbionych w szpony orła padało zgóry światło równe, przepuszczone przez matowe szkło, które wypełniało wolny od kasetonów środek pułapu. Tę mleczną przestrzeń obejmowała girlanda liści winnej latorośli.

Na stole, zastawionym na sposób rosyjski, stały już owoce, otoczone wianuszkiem fiołków, a potrawy pod kloszami z metalu, błyszczącego jak kaski emirów, czekały, rychło ich osiągną noże biesiadników. Moskiewski samowar, szumiąc, wyrzucał z siebie kłęby pary. Dwaj lokaje jak dwa posągi stali w milczeniu za dwoma naprzeciw siebie ustawionemi krzesłami.

Oktawjusz ogarnął te wszystkie szczegóły jednym szybkim spojrzeniem, aby nie zaprzętała go nowość przedmiotów, które powinny mu były być znane.

Odwrócił głowę, posłyszawszy lekki szmer kroków i szelest tafty. Była to hrabina Praskowja Łabińska; usiadła, powitawszy go lekkim przyjaznem skinieniem.

Miała na sobie penjuar w białe i zielone kraty, abrazy riuszą z tej samej materji, wycinaną w zęby; włosy jej, w gęstych puklach ułożone na skro-

niach, upięte były nisko, u nasady karku; złoty ich sznur wił się naksztalt woluty w jońskim kapitelu. Uczesanie to było skromne a jednocześnie tak szlachetne, że rzeźbiarz grecki nicby w niem zmieniać nie potrzebował.

Jej cera róży cielistego koloru przybladła nieco pod wrażeniem przejść wczorajszego dnia i burzliwego snu w nocy; miała wyraz twarzy zmęczony i tęskny, lecz piękność jej nabierała przez to jedynie jakichś cech bardziej człowieczych; bogini stawała się kobietą; anioł przestał się unosić w powietrzu i zwinął skrzydła.

Nauczony doświadczeniem, Oktawjusz przysłonił płomień swych oczu i ukrył milczący zachwyt pod pozorem obojętności.

Hrabina wsunęła swą nóżkę w pantoflu z czerwonej skóry w jedwabistą wełnę dywanu, rozłożonego pod stołem, aby zabezpieczał od zimnego zetknięcia się z mozaiką, którą pokój był wykładany, uczyniła lekki ruch ramion, jakby zmrożona ostatnim dreszczem gorączki, i utkwivszy swe piękne oczy w towarzyszu, którego brała za małżonka (gdyż z nastaniem dnia pierzchły wszelkie przeczucia, strachy i widma nocne) — ozwała się doń głosem harmonijnym i miękkim, mówiąc słów kilka po polsku!!! Wobec hrabiego posługiwała się często kochaną mową ojczystą, zwłaszcza w chwilach tkliwości i serdeczności, gdy chciała nie być zrozumianą przez służbę francuską.

Paryżanin Oktawjusz znał język łaciński, wło-

ski, hiszpański, kilka słów po angielsku, lecz jak wszyscy Gallo-Romanie, nie znał zupełnie języków słowiańskich. Konnica spółgłosek, stojąca na straży rzadkich samogłosek w języku polskim, nie pozwoliłaby mu się zbliżyć, gdyby miał nawet kiedykolwiek ochotę tam się wśliznąć.

We Florencji mówiła z nim hrabina zawsze po francusku lub po włosku, i na myśl nie przyszło mu uczyć się języka, w którym Mickiewicz prawie dorównał Byronowi. Nigdy niepodobna przewidzieć wszystkiego.

Na dźwięk tego zdania dokonało się w mózgu hrabiego, zamieszkanym przez jaźń Oktawjusza, bardzo ciekawe zjawisko: wyrazy obce paryżaninowi, idąc wzdłuż zagieść słowiańskiego ucha, dotarły do zwykłego miejsca, gdzie dusza Olafa przyjmowała je, aby przełożyć na myśl, i wywołały tam coś w rodzaju fizycznej pamięci; znaczenie ich stało się jakby przez pół zrozumiałe dla Oktawjusza; słowa, zagrzebane po zwojach mózgowych, leżące w głębi tajemnych szufladek pamięci, poczęły się cisnąć gwarno, gotowe do odpowiedzi; lecz te wspomnienia niepewne, nie znajdując połączenia z duchem, rozpieierzchły się wrychle, i wszystko napowrót okryło się mrokiem.

Zakłopotanie biednego kochanka było straszne. Nie myślał o podobnych zawilosciach, wkładając skórę hrabiego Olafa Łabińskiego, i zrozumiał, że, kradnąc cudzy kształt, naraża się człowiek na okrutne nieporozumienia.

Praskowja, zdziwiona milczeniem Oktawjusza i sądząc, że w roztargnieniu nie dosłyszał jej słów, powtórzyła zdanie zwolna i głośniej.

Mimo że fałszywy hrabia lepiej teraz słyszał dźwięk słów, nie stały mu się one przez to zrozumialsze; czynił rozpaczliwe wysiłki, aby odgadnąć, o co chodziło; lecz dla człowieka, który ich nie zna, zwarte języki północne nie posiadają żadnej przejrzystości i, jeśli Francuz może się domyśleć, co mówi Włoszka, staje jak głuchy przed Polką.

Pomimowoli gorący rumieniec oblał mu policzki, gryzł wargi i, aby sobie dodać odwagi, zaczął krajać gwałtownie kawałek mięsa na talerzyku.

— Moznaby naprawdę powiedzieć, mój drogi panie — rzekła hrabina tym razem po francusku — że mnie nie słuchasz albo że mnie zgoła nie rozumiesz...

— W istocie — wyjąkał Oktawjusz-Labiński, nie wiedząc dobrze, co mówi — ten przeklęty język jest taki trudny!

— Trudny! tak, być może, dla cudzoziemców, ale nie dla człowieka, który w tym języku uczył się mówić na kolanach swej matki, on tryska z ust jak tchnienie życia, jako naturalny wypływ myśli.

— Tak, bezwątpienia, lecz mimo to są chwile, w których mi się zdaje, że go nie rozumiem.

— Co ty mówisz, Olaf? jakto? ty miałbyś zapomnieć mowy swych przodków, mowy świętej

ojczyzny, mowy, która ci pozwala poznać swych braci wśród ludzi i—dodała ciszej—mowy, w której powiedziałeś mi po raz pierwszy, że mnie kochasz!

— Przyzwyczajenie posługiwania się innym językiem...—wtrącił Oktawjusz-Łabiński, jako ostatni argument.

— Olaf — odparła hrabina tonem wymówki — widzę, że Paryż cię zepsuł; miałam słuszość, że nie chciałam tu jechać. Któżby powiedział, że gdy szlachetny hrabia Łabiński wróci do swych ziem, nie potrafi odpowiedzieć na powitania swych wasali!

Cudne oblicze Praskowji przybrało wyraz bolesny; po raz pierwszy smutek rzucił cień na to czoło czyste, jak u anioła; to szczególne zapomnienie zmroziło ją do najdalszej głębi duszy i wydało się jej poprostu zdradą.

Dalsza część śniadania przeszła w milczeniu; Praskowja dąsała się na tego, którego uważała za hrabiego. Oktawjusz siedział jak na torturach, w ciągłej obawie pytań, któreby musiał pozostawić bez odpowiedzi.

Hrabina wstała i przeszła do swoich apartamentów.

Oktawjusz, zostawszy sam, zaczął się bawić rączką noża, który miał ochotę wbić sobie w serce, tak dalece położenie jego było niezdolne; liczył jedynie na pewne niespodzianki, gdy tymczasem zaplątał się w labirynt bez wyjścia.

Biorąc na się ciało hrabiego Olafa Łabińskiego, trzeba mu było zabrać wszystkie jego dawne wiadomości, znajomość języków, wspomnienia dzieciństwa, tysiąc intymnych szczegółów, które tworzą ludzkie ja, wszystkie węzły, łączące jego egzystencję z egzystencją drugich; a na to nie starczyłoby całej wiedzy doktora Baltazara Cherbouneau.

Co za przekleństwo! być w tym raju, którego jeno próg ośmielał się oglądać zdaleka; mieszkać pod jednym dachem z Praskowją, widzieć ją, mówić do niej, całować jej piękną rękę ustami jej męża i nie móc oszukać jej skromności niebiańskiej, i zdradzać się na każdym kroku—co za głupota!

— Było śnać napisane wgórze, iż Praskowja nigdy mnie kochać nie będzie! A przecież uczyniłem największą ofiarę, do jakiej zniżyć się może duma ludzka; wyrzekłem się swego ja i zgodziłem się pod cudzą formą korzystać z pieszczot, przeznaczonych dla innego!

Monologował właśnie w ten sposób, gdy groom pochylił się przed nim z oznakami najgłębszego uszanowania i zapytał, jakiego ma dziś konia osiodłać...

Widząc, że hrabia nic nie odpowiada, groom ważył się, przerażony własną odwagą, wyszeptać:

— Vultur czy Rustem? od tygodnia nie wychodziły.

— Rustem — odparł Oktawjusz-Labiński, chociaż mógł tak samo dobrze powiedzieć: Vultur.

Ubrał się do konnej jazdy i pojechał w stronę lasu Bulońskiego, chcąc kąpielą powietrzną rozproszyć napięcie nerwowe.

Rustem—wspaniałe zwierzę z rasy Nedzi, noszący na piersiach w torebce wschodniej z aksamitu, haftowanego złotem, swe tytuły szlacheckie, sięgające pierwszych lat Hedzry—nie potrzebował ostrogi. Zdawał się rozumieć myśl jeźdźcy i pomknął od razu jak strzała. Po dwu godzinach szalonej jazdy jeździec i zwierzę wrócili do pałacu, jeden uspokojony, drugi cały dymiący, z czerwonymi nozdrzami.

Rzekomy hrabia poszedł do hrabiny, którą znalazł w salonie, ubraną w suknię z białej tafty, z falbanami, idącemi od dołu do pasa; we włosach, nad uchem, miała kokardę z wstążki. Był to właśnie czwartek—dzień, w którym pozostawała w domu i przyjmowała wizyty.

— No i cóż — ozwała się z miłym uśmiechem, albowiem das nie mógł długo bawić na tych pięknych ustach — czyś odzyskał pamięć, przelatując po alejach lasu?

— Na Boga, nie, kochanie—odparł Oktawjusz-Labiński — lecz muszę ci coś powiedzieć.

— Czyż nie znam ja zgóry wszystkich twych myśli? czyż przestaliśmy się przenikać wzajemnie?

— Wczoraj poszedłem do tego doktora, o którym tyle się mówi.

— Tak, do doktora Baltazara Cherbonneau, który dłuższy czas przebywał w Indjach, i jak powiadają, wyuczył się od braminów mnóstwa tajemnic, jedna cudowniejsza od drugiej. Chciałeś, żebym z tobą poszła, ale ja nie jestem ciekawa — gdyż wiem, że mnie kochasz, i to mi wystarcza.

— Dokonał wobec mnie doświadczeń tak dziwnych, pokazał mi tyle cudów, że do teraz czuję zamęt w głowie. Ten niezwykły człowiek, który posiada wielką potęgę, pogrążył mnie w sen magnetyczny tak głęboki, że po obudzeniu się spostrzegłem, iż straciłem pamięć wielu rzeczy; przeszłość zapadła w ciemną mgłę; jedynie miłość moja dla ciebie pozostała nietknięta.

— Źle uczyniłeś, Olafie, że poddałeś się wpływowi tego doktora. Jeden tylko Bóg, który stworzył duszę, ma prawo do niej; lecz człowiek, opanowując duszę drugiego człowieka, popełnia czyn bezbożny — rzekła hrabina Praskowja Łabińska tonem poważnym. — Mam nadzieję, że więcej tam nie pójdziesz i że jeśli powiem ci coś miłego — po polsku — to zrozumiesz, jak dawniej.

Oktawjusz, podczas przejażdżki konno, wymyślił tę historję z magnetyzmem jako usprawiedliwienie wszelakich nieporozumień, których nie mógł uniknąć w swem nowem życiu; lecz to nie był bynajmniej koniec jego mąk.

Służący, rozwierając podwoje drzwi, zapowiedział gościom:

— Pan Oktawjusz de Saville.

Chociaż był przygotowany, że takie spotkanie musi któregoś dnia nastąpić, prawdziwy Oktawjusz, posłyszawszy te proste słowa, zbladł, jakby mu nagle nad uchem zagrała trąba sądu ostatecznego. Zebrał całą swą odwagę i, aby się nie zachwiać, powiedział sobie, że przecież znajduje się w położeniu znacznie korzystniejszym: instynktownie ścisnął palcami poręcz fotela i w ten sposób zdołał się utrzymać na nogach, zachowując postawę silną i spokojną.

Hrabia Olaf, schowany pod skórą Oktawjusza, podszedł do hrabiny i skłonił się głęboko.

— Hrabia Łabiński... pan Oktawjusz de Saville...—przedstawiała hrabina.

Dwaj mężczyźni skłonili się sobie zimno, obrzucając się dzikim spojrzeniem poprzez marmurową maskę światowej dystynkcji, która nieraz ukrywa tak straszne namiętności.

— Nie widziałam pana od czasów florenckich, panie Oktawjuszu — ozwała się hrabina głosem przyjaznym i poufałym — bałam się, że przyjdzie mi opuścić Paryż, nie zobaczywszy pana. Byłeś pan grzeczniejszy w willi Salviatic i zaliczałeś się wówczas do moich najwierniejszych.

— Podróżowałem, byłem cierpiący, nawet chory, i kiedy otrzymałem zaproszenie pani, nie wiedziałem, czy z niego skorzystam, albowiem nie należy być egoistą i nadużywać pobłażliwości, jaką się ma dla człowieka nudnego.

— Znudzonego, być może, ale nie nudnego —

odparła hrabina. — Byłeś pan zawsze melancholijny — ale czyż nie powiedział jeden z waszych poetów o melancholji: „Oprócz lenistwa — to najlepszy z błędów“.

— Takie plotki rozpuszczają ludzie szczęśliwi, aby nie potrzebowali żałować tych, co cierpią — rzekł Olaf-de Saville.

Hrabina spojrzała z niewypowiedzianą słodyczą na hrabiego, ukrytego pod skórą Oktawjusza, jakby go chciała prosić o przebaczenie, że mimowolnie obudziła w nim taką miłość.

— Uważa mnie pan za bardziej lekkomyślną, niż jestem, mam litość dla każdej prawdziwej boleści, i jeśli nie mogę jej przynieść ulgi, umiem współczuć. Chciałabym, żebyś pan był szczęśliwy, drogi panie Oktawjuszu: ale czemu zamyka się pan za furta swego smutku, odrzucając życie, które idzie ku panu ze swoim szczęściem, swemi czarami i swemi obowiązkami? Dlaczegoś odrzucił przyjaźń, którą ci ofiarowałam?

Te słowa tak proste i tak szczerze rozmaicie podziały na obu słuchających.

Oktawjusz słyszał w nich potwierdzenie wyroku, wydanego w ogrodzie Salviatic temi pięknymi ustami, które nigdy nie splamiły się kłamstwem; Olaf widział w tem jeden więcej dowód niezachwianej cnoty swej żony, która mogła ulec jedynie djabelskim podstępom. Ogarnęła go nagła wściekłość na widok swego widma, ożywionego cudzą duszą, tak, że rzucił mu się do gardła:

—Złodzieju, bandyto, zbrodniarzu, oddaj mi moja skórę!

Hrabina zadzwoniła, i lokaje wyprowadzili hrabiego.

— Ten biedny Oktawjusz zwarjował! — rzekła Praskowja w chwili, gdy wyprowadzano szarpiącego się Olafa.

— Tak—odparł prawdziwy Oktawjusz—zwarjował z miłości! Hrabino, jesteś stanowczo zanadto piękna!

XI.

W dwie godziny po tej scenie fałszywy hrabia od prawdziwego hrabiego otrzymał list, zapieczętowany sygnetem Oktawjusza de Saville — gdyż nieszczęśliwy wydziedziczony nie posiadał innego.

List zawierał, co następuje, skreślone pismem, które się wydawało jakby podrobione, albowiem Olaf nie był przyzwyczajony pisać palcami Oktawjusza:

„Gdyby ten list przeczytał kto inny, nabrałby przekonania, że przyniesiono go z domu warjatów, ale pan mnie zrozumie. Niewytłumaczony zbieg fatalnych okoliczności, jaki chyba nie zdarzył się nigdy, odkąd ziemia obraca się dokoła słońca, zmusza mnie do czynności, której żaden człowiek nie wykonał. Piszę sam do siebie i na tym adresie kładę imię, które jest mojem imieniem, a któreś mi pan skradł razem z moją osobą.

„Jakich ciemnych machinacyj padłem ofiarą,

w jakie kolisko piekielnych złudzeń dostałem się—nie wiem; pan musi to lepiej wiedzieć ode mnie. Jeżeli nie jesteś pan tchórzem, lufa mego pistoletu lub koniec mej szpady zmusi pana do wyznania tej tajemnicy na gruncie, na którym każdy człowiek honoru lub lajdak odpowiada na stawiane zapytania; nie może być inaczej, tylko jutro jeden z nas przestanie oglądać światło dzienne.

„Ten wielki wszechświat stał się obecnie dla nas za ciasny: zabiję swoje ciało, zamieszkane przez pańską oszukańczą duszę, albo też pan zabije swoje, w którym wścieka się moja dusza uwieczniona.

„Nie staraj się pan podawać mnie za warjata—będę miał dość odwagi, aby być rozumnym i wszędzie, gdzie pana spotkam, będę pana znieważał z uprzejmością dżentelmana, z zimną krwią dyplomaty: sądzę, że moi świadkowie doskonale porozumieją się z pańskimi co do godziny, miejsca i warunków pojedynku“.

List ten wprowił Oktawjusza w wielkie zakłopotanie. Nie mógł odrzucić wyzwania hrabiego, a jednocześnie czuł wstręt bić się z samym sobą, albowiem zachował dla swej dawnej powłoki nieco tkliwości. Myśl, że może być zmuszonym do walki jakąś jaskrawą zniewagą, skłoniła go do przyjęcia. Mógł, co prawda, włożyć przeciwnikowi kaftan bezpieczeństwa, lecz ten gwałtowny środek obrażał delikatność jego uczuć.

Uniesiony namiętnością nie do pokonania, po-

pełnił czyn karygodny, ukrywając kochanka pod maską męża, aby zatriumfować nad cnotą, stojącą ponad wszelkie pokusy, ale mimo to nie był człowiekiem bez honoru ani tchórzem; tę ostatnią stawkę zagrał dopiero po trzech latach walki i cierpienia, w chwili, gdy jego życie, *zzarte* przez miłość, uciekało już od niego.

) Nie znał hrabiego: nie był jego przyjacielem, nie był mu winien nic i skorzystał poprostu z ryzykownego środka, jaki mu zaproponował doktor Baltazar Cherbonneau.

Skąd wziąć świadków? bezwątpienia z pośród przyjaciół hrabiego, ale Oktawjusz w ciągu jednego dnia pobytu w pałacu nie zdołał się z nimi zetknąć.

Na kominku stały dwie czary z porcelany seledynowego koloru, których ucha tworzyły smoki złote. Jedna z nich zawierała pierścienie, szpilki i inne drobne kosztowności: w drugiej były wizytówki, na których pod koronami książąt, markizów, hrabiów biegli grawerzy wypisali mnóstwo nazwisk polskich, rosyjskich, węgierskich, niemieckich, włoskich, hiszpańskich, świadczących o podróżach hrabiego, który miał przyjaciół we wszystkich krajach.

Oktawjusz wybrał z nich dwa: hrabiego Zamoyskiego*) i markiza de Sepulveda.

*) W oryginale „Zamoieczki“. Sądzę, że nie obrażę intencji autora, jeśli to nazwisko oddam prawdziwie po polsku. Czytelnik mógł zauważyć, że Gantier ma wogóle o Polsce niejasne pojęcie. Bohaterce daje imię rosyjskie, jej mężowi skandynawskie. Ich dobra i „zamki“ umieszcza w Czechach. Przep. tłum.

Kazał zaprząć i pojechał do nich. Zastał obydwu w domu. Nie okazali zdziwienia, wysłuchawszy żądania tego, którego brali za hrabiego Olafa Łabińskiego.—Najzupełniej wyzbyci wrażliwości burżuazyjnych świadków, nie zadawali sobie pytania, czy sprawy nie możnaby załatwić ugodowo, i jako prawdziwi dżentelmeni zachowywali pełne dobrego smaku milczenie w kwestji motywów zwady.

Ze swojej strony, prawdziwy hrabia, lub jeśli wolicie, fałszywy Oktawjusz był w podobnym kłopotcie: przypomniawszy sobie Alfreda Humberta

Gustawa Raimbaud i postanowił użyć ich do tej iposługi przyjacielskiej.

Dwaj młodzi ludzie okazywali pewne zdziwienie, że ich przyjaciel wplątał się w aferę pojedyńkową, on, który prawie od roku nie opuszczał swego pokoju i był znany z usposobienia raczej łagodnego, niż wojowniczego; lecz gdy im powiedział, że idzie tu o walkę na śmierć, z powodu, którego wyjawić nie może,—nie czynili więcej trudności i udali się do pałacu Łabińskich.

Warunki ułożono natychmiast. Pieniążek, rzucony w powietrze, rozstrzygnął o rodzaju broni, albowiem przeciwnicy oświadczyli, że wszystko im jedno—czy szpady, czy pistolety. Punkt zborny był w ustronnej części Lasku Bulońskiego, o godzinie szóstej rano.

Kiedy wszystko już było załatwione, była prawie dwunasta w nocy i Oktawjusz zbliżył się do drzwi apartamentu Praskowji. Drzwi były za-

mknięte, jak wczoraj, a z poza nich ozwał się drwiący głos hrabiny:

— Przyjdiesz, kiedy będziesz umiał po polsku; zanedto jestem patriotką, abym mogła przyjmować cudzoziemca.

Rano zjawił się uprzedzony przez Oktawjusza doktor Cherbonneau, niosąc torbę z instrumentami chirurgicznymi i pakiet bandaży. Wsiedli razem do powozu. Panowie Zamoyski i de Sepulveda jechali za nimi.

— A więc, kochany Oktawjuszu—rzekł doktor—cała awantura bierze obrót tragiczny? Powinien-bym był kazać spać hrabiemu w pańskim ciele przez jakiś tydzień i trzymać go u siebie w domu. Nie-raz przeciągałem sen magnetyczny i poza tę gra-nicę. Ale można wyuczyć się mądrości braminów i zapomnieć o jakimś drobiazgu; najlepiej ułożony plan ma swoje niedokładności. No, a jak przyjęła hrabina Praskowja swego wielbiciela z Florencji w tem nowem przebraniu?

— Sądzę—odparł Oktawjusz—że poznała mnie pomimo tej przemiany, albo też jej anioł-stróż kazał jej mi nie ufać; była tak czysta, tak zimna, jak śnieg polarny. Jej wyborna dusza domyślała się pod kochanemi rysami jakiejś obcej duszy. Mówilem panu, że pan nie może dla mnie nic uczynić; jestem bardziej nieszczęśliwy, niż wów-czas, gdy mnie pan po raz pierwszy odwiedził.

— Któż może oznaczyć kres zdolnościom duszy
— rzekł w zadumie doktor Baltazar Cherbonneau

—zwłaszcza, jeśli jej nie odrywa żadna myśl ziem-
ska i jeśli zachowała się ona taką, jaką wyszła
z rąk Stwórcy? — Tak, pan ma słuszość, ona pa-
na poznała; jej anielska wstydlivość zadrżała pod
spojrzeniem żądy i instynktownie zakryła się
białemi skrzydłami. Żal mi pana, mój biedny
Oktawjuszu! choroba pańska jest w istocie nie-
uleczalna. Gdybyśmy żyli w średnich wiekach,
powiedziałbym panu: wstąp do klasztoru.

— Myślałem o tem często—odparł Oktawjusz.
Przyjechano. Powóz fałszywego Oktawjusza
stał już w oznaczonem miejscu.

Lasek o tej porannej godzinie przedstawiał
się naprawdę malowniczo. Była to owa pora lata,
w której słońce nie miało jeszcze czasu przyćmić
zieleni liści; odcienie świeże, przejrzyste, omyte
rosą nocną, kładły się na drzewach, z których wy-
laniała się woń młodej roślinności. W tej części
lasu drzewa są szczególnie piękne. Ptaki, które
hałas dzienny przygłusza, ćwierkały wesoło po
gałęziach.

Te poezje przyrody, zaskoczonych w dezabilu,
mało zajmowały, jak się tego można było spo-
dziewać, obydwu przeciwników i ich świadków.

Widok doktora Cherbonneau sprawił na Ła-
bińskim bardzo niemiłe wrażenie, które jednak
szybko opanował.

Odmierzono szpady, wyznaczono stanowiska.

Świadkowie zawołali: — „Ruszać!”

W każdym pojedynku, bez względu na za-

ciekłość przeciwników, jest chwila uroczystego bezruchu; każdy walczący bada w milczeniu współzawodnika, obmyśla plan, atak, przygotowuje się do odpowiedzi; potem szpady zaczynają się szukać wzajem, najeżają się ku sobie, obmacują się, jeśli się można tak wyrazić; to trwa kilka sekund, które wydają się patrzącym minutami, godzinami całemi.

Tutaj okoliczności pojedynku, dla widzów pozornie zwyczajne, były dla walczących tak dziwne, że obaj pozostali w oczekiwaniu dłużej, niż należało. Każdy z nich bowiem miał przed sobą swą własną postać i miał zanurzyć stal w ciele, które jeszcze wczoraj należało do niego.

W ten sposób walka stawiała się rodzajem samobójstwa i, mimo że obaj byli odważni, odczuwali instynktowny lęk na myśl, że stoją na długość szpady naprzeciw swych własnych widm.

Świadkowie zniecierpliwieni zawołali powtórnie:

— Panowie, ruszajcie!

Kilka ataków odparowała dzielnie jedna i druga strona.

Hrabia, dzięki wychowaniu wojskowemu, był dzielnym strzelcem; podziurawił tarcze najslawniejszych mistrzów; znając natomiast doskonale teorię fechtunku, nie miał do rozporządzenia swej tęgiej i zylastej ręki; swą szpadę trzymał słabą dłonią Oktawjusza.

Przeciwnie znów Oktawjusz w ciele hrabiego odnajdywał nieznaną sobie siłę, i chociaż mniej

wprawny, z łatwością odrzucał żelazo od swej piersi.

Napróżno Olaf starał się dosięgnąć przeciwnika, nawet za cenę bardzo ryzykownych uderzeń. Oktawjusz, bardziej spokojny i wytrwały, odbijał wszystkie finty.

Hrabiego począł ogarniać gniew; walczył coraz bardziej nerwowo i bezładnie. Zdecydowany pozostać na zawsze Oktawjuszem de Saville, pragnął zabić to oszukańcze ciało, które mogło uwieść Praskowję — a jedna ta myśl podnosiła w nim burzę wściekłości.

Z narażeniem się na przebicie szpadą spróbował pchnięcia prostego, aby tylko dotrzeć poprzez własne ciało do duszy i życia swego rywala; lecz szpada Oktawjusza owinęła się dokoła jego szpady ruchem tak prędkim, tak suchym, tak nieodbitym, iż żelazo, wyrwane z garści, wyskoczyło w górę i upadło o kilka kroków dalej.

Życie Olafa było w ręku Oktawjusza: twarz hrabiego skurczyła się, nie z trwogi przed śmiercią, lecz na myśl, że pozostawia swą żonę człowiekowi, który ukradł mu ciało.

Oktawjusz, bynajmniej nie wyzyskując położenia, odrzucił szpadę i, uczyniwszy znak świadkom, aby nie przeszkadzali, podszedł do zdumionego hrabiego, wziął go za ramię i zaprowadził w głąb lasu.

— Czego pan chce ode mnie?—zapytał hrabia.
— Dlaczego mnie pan nie zabije, skoro może pan

to uczynić? Dlaczego nie chce pan walczyć dalej, pozwalając mi wziąć szpadę, jeżeli nie może pan zabić bezbronnego? Pan wie dobrze, iż słońce nie powinno rzucać na piasek dwóch naszych cieni i że ziemia musi jednego z nas pochłoniąć.

— Niech mnie pan wysłucha cierpliwie — odparł Oktawjusz. — Szczęście pańskie jest w mojem ręku. Mogę na zawsze zachować to ciało, w którem tkwię teraz, a które jest pańską prawną własnością; mogę to śmiało przyznać, kiedy niema koło nas świadków i gdy słyszą nas jedynie ptaki, a te nie powtórzą mych słów nikomu; jeżeli wznowimy pojedynek, zabiję pana. Hrabia Olaf Łabiński, którego wyobrażam najlepiej jak umiem, jest w szermierce silniejszy od Oktawjusza de Saville, którego będę, niestety, zmuszony usunąć; śmierć ta, chociaż nierealna, albowiem dusza moja pozostanie przy życiu, doprowadzi do rozpaczyny moją matkę.

Hrabia, uznając prawdę tych uwag, zachowywał milczenie, jakby na znak potwierdzenia.

— Nigdy — ciągnął dalej Oktawjusz — nie uda się panu, jeśli ja tego nie zechcę, odzyskać swej indywidualności; widziałeś pan, do czego doprowadziły dotychczasowe pańskie próby. Dalsze usiłowania uczynią z pana zupełnego szaleńca. Nikt nie uwierzy w pańskie dowodzenia i, jeśli zechce pan uchodzić za hrabiego Olafa Łabińskiego, wszyscy roześmieją się panu w nos, jak się pan mógł o tem już przekonać. Zamkną pana

i przez resztę życia, pod zimnym tuszem, będzie pan wołał, że jesteś właściwym mężem pięknej hrabiny Praskowji Łabińskiej. Dusze współczujące powiedzą:—„Ach! ten biedny Oktawjusz!”—Staniesz się pan zapoznany, jak Chabert Balzaca, który chciał udowodnić, że nie umarł.

To wszystko było tak matematycznie pewne, że zgębiony hrabia opuścił głowę na piersi.

— Ponieważ jesteś pan chwilowo Oktawjuszem de Saville, przeszukałeś niewątpliwie jego szuflady, przerzuciłeś papiery; wiadomo panu, że od trzech lat żywi on dla hrabiny Praskowji Łabińskiej miłość straceńczą, beznadziejną, którą napróżno starał się wyrwać z serca i która skończy się jedynie z jego życiem, a może i pójdzie z nim do grobu.

— Tak, wiem o tem—rzekł hrabia, zagryzając wargi.

— I oto, aby się do niej dostać, użyłem środka strasznego, okropnego, na który ważyć się może jedynie szalona namiętność; doktor Cherbonneau dokonał dla mnie dzieła, przed którem cofnęliby się cudotwórcy wszystkich krajów i wszystkich stuleci. Pograżywszy nas obu we śnie, siłą magnetyczną zmusił nasze dusze do przeniesienia się z jednego ciała w drugie. Zbyteczny cud! Oddam panu pańskie ciało. Praskowja mnie nie kocha! Pod rysami męża poznała duszę kochanka; na progu alkowy spojrzenie jej było równie zimne, iak w ogrodzie willi Salviatic.

W głosie Oktawjusza brzmiał taki serdeczny ból, że hrabia uwierzył jego słowom.

— Jestem tylko zakochany — dodał Oktawjusz z uśmiechem — ale nie jestem złodziejem; a ponieważ jedyne dobro, którego na tej ziemi pożadam, nie może do mnie należeć, nie potrzebuję pańskich tytułów, zamków, ziem, pieniędzy, koni. Niech mi pan poda ramię, i odejdzimy stąd pogodzeni, podziękujemy swoim świadkom, zabierzemy ze sobą doktora Cherbonneau i wrócimy do tego laboratorium magicznego, skąd wyszliśmy przeobrażeni; stary bramin potrafi naprawić to, co zrobił.

— Panowie—rzekł Oktawjusz, utrzymując się jeszcze kilka minut w roli hrabiego Olafa Łabińskiego—wymieniliśmy między sobą szereg poufnych zwierzeń, które czynią dalszą walkę bezpodstawną. Nic tak nie potrafi wyjaśnić sytuacji między dwoma szlachetnymi ludźmi, jak skrzyżowanie szpad.

Panowie Zamoyski i Sepulveda wsiedli do swego powozu. Alfred Humbert i Gustaw Raimbaud uczynili to samo. Hrabia Olaf Łabiński, Oktawjusz de Saville i doktor Baltazar zdążali w stronę ulicy du Regard.

XII

Przejeżdżając przez Lasek Buloński, niedaleko już ulicy du Regard, Oktawjusz de Saville odezwał się do doktora Cherbonneau:

— Kochany doktorze, chcę jeszcze raz wystawić wiedzę pańską na próbę: trzeba wrócić dusze nasze do ich zwykłego miejsca zamieszkania. To nie sprawi panu żadnej trudności; sądzę, że hrabia Łabiński nie będzie panu pamiętał, żeś mu kazał zamienić pałac na chatę i przez kilka godzin przebywać jego wspaniałej osobowości w mem biednem indywiduum. Zresztą, masz pan dość siły, aby się nie obawiać zemsty.

Doktor uczynił twierdzący ruch i rzekł:

— Operacja będzie teraz znacznie prostsza; nieuchwytnie niteczki, które duszę łączą z ciałem, zostały u was niedawno zerwane i nie miały jeszcze czasu nawiązać się na nowo i wasze wole nie będą czyniły tych trudności, jakie tworzy dla magnetyzera instynktowny opór magnetyzowanego. Hrabia przebaczy staremu uczonemu, który nie mógł sobie odmówić przyjemności wykonania eksperymentu, dla którego nie tak łatwo znaleźć przedmiotu—przebaczy tem bardziej, że próba ta posłużyła jedynie do jaskrawego stwierdzenia cnoty, odnoszącej zwycięstwo nawet tam, [gdzie każda inna uległaby bezwątpleniu. Pan na tę chwilową przemianę będzie patrzył, jak na dziwaczny sen, i być może, nie będzie pan żałował tych wrażeń, które niewielu ludziom przypadły w udziale: że zamieszkiwali dwa ciała. Metempsychoza nie jest nauką nową, lecz zanim przejdzie się do innego istnienia, dusza pije z czary zapomnienia i nie

wszyscy mogą, jak Pitagoras, pamiętać, że brali udział w wojnie trojańskiej.

— Dobrodziejstwo, jakie mi pan okaże, wracając mi moją indywidualność—odparł uprzejmie hrabia—równoważy nieprzyjemność pozbycia się jej, co jednak mówię bez złej intencji dla pana Oktawjusza de Saville, którym jestem jeszcze, a którym wkrótce być przestanę.

Oktawjusz uśmiechnął się ustami hrabiego Łabińskiego, i milczenie zaleгло między temi trzema osobami, którym rozmowę utrudniało ich niezwykle położenie.

Biedny Oktawjusz rozmyślał o swych zawiedzionych nadziejach, i trzeba przyznać, że myśli jego nie były całkiem różowe. Jak wszyscy odtrąceni kochankowie, zadawał sobie wciąż jeszcze pytanie, dlaczego nie był kochany—jakgdyby miłość była jakimś „dlaczego”. Uznawał się pokonanym i czuł, że iskra życia, rozdmuchana w nim na chwilę przez doktora Cherbonneau, znowu gaśnie.

Oktawjusz nie sprawiłby swej matce zgryzoty, spowodowanej jego samobójstwem, i szukał tylko ustronia, gdzie mógłby cicho odejść z wymówką jakiejs choroby. Gdyby był malarzem, poetą lub muzykiem, ból swój zamknąłby w arcydziełach, i Praskowja w białej szacie, uwieńczona gwiazdami, jak Beatrycze Dantego, uniosłaby się nad jego natchnieniem niby anioł świetlany; ale na wstępie tej historii powiedzieliśmy, że Oktawjusz, chociaż

wykształcony i wytworny, nie był jednym z tych umysłów wybranych, które wyciskają na świecie ślad swych stóp. Dusza, wzniosła a nieświadoma, umiała tylko kochać i umierać.

Powóz wjechał na dziedziniec starego pałacu przy rue du Regard; szare mury sąsiednich budynków rzuciły na dziedziniec chłodne cienie, podobne do tych, które padają z arkad klasztornych. Milczenie i Bezruch czuwały na progu jak dwa posągi niewidzialne, aby strzec spokoju rozmyślań uczonego.

Oktawjusz i hrabia wysiedli, a doktor zeskończył ze stopnia ruchem tak zwinnym, jakiego nie można było oczekiwać po człowieku w jego latach, i nie oparł się na ramieniu, które mu podawał lokaj z tą uniżonością, z jaką służba w wielkich domach zwraca się do osób słabych i starszych.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły, Olaf i Oktawjusz uczuli się otoczeni tą gorącą atmosferą, która doktorowi przypominała słoneczne powietrze Indyj i gdzie tylko on jeden mógł oddychać swobodnie.

Wcielenia Wiśnu wychylały się z grymasem ze swych ram, bardziej jeszcze cudaczne za dnia, niż przy świetle; Sziwa, błękitny bóg, śmiał się ze swego cokolu, a Durga, gryząc wargi zębami dzika, zdawał się poruszać swą kapliczką z czaszek. Mieszkanie miało zwykły nastrój tajemniczy i magiczny.

Doktor Baltazar Cherbonneau zaprowadził swe medja do tego samego pokoju, w którym dokonał pierwszego przeobrażenia; obrócił szklany dysk maszyny elektrycznej, poruszył żelazne pręty w wiaderku mesmerycznem, otworzył kaloryfery, aby jeszcze bardziej nasilić gorącem powietrze, przeczytał parę wierszy z papirusów tak starych, że podobne były do kory drzewnej, już rozsypującej się w proch, i po kilku minutach ozwał się do Oktawjusza i hrabiego:

— Panowie, jestem na wasze usługi; czy chcecie, żebyśmy zaczęli?

Gdy doktor zajęty był swemi przygotowaniami, przez głowę hrabiego przelatywały myśli niespokojne:

„Gdy będę uspiony, ten stary czarodziej z twarzą diabła może znów zrobić z moją duszą, co mu się podoba. Czy ja wiem, co on uczyni z moją duszą? Czy ją wróci w moje ciało, czy też zabierze ją ze sobą do piekła? Kto wie, czy ta zamiana, która ma wrócić mi moje szczęście, nie jest jakąś nową zasadzką, makjawelistycznym podstępem, którego celu przewidzieć nie mogę? A jednak niepodobna mi trwać w mojem położeniu. Oktawjusz posiada moje ciało i, jak to dobrze powiedział dziś rano, nie mogę ludziom mówić o swej niedoli, bo mnie zamkną do domu obłąkanych. Jeżeliby się chciał mnie pozbyć, wystarczało mu tylko pchnąć szpadą; byłem bezbronny, zdany na jego łaskę. Sprawiedliwość ludzka nie miałaby tu

nie do gadania: formy pojedynku były zupełnie prawidłowe i wszystko odbywało się według zwyczaju. Dosyć! Pomyślmy o Praskowji i nie trwożmy się, jak dzieci! Spróbujmy tego ostatniego środka do jej odzyskania!

I wziął, podobnie, jak Oktawjusz, pręt żelazny, który mu wskazał doktor Baltazar Cherbonneau.

Rażeni fluidem magnetycznym, dwaj młodzi ludzie wpadli natychmiast w stan zupełnej nicości, który dla osób nieuprzedzonych mógł się wydawać śmiercią: doktor wykonał szereg ruchów, spełnił obrzędy, wymówił te same zgłoski, co poprzednio, i wrychle dwie małe iskierki pojawiły się nad Oktawjuszem i hrabią; doktor odprowadził do dawnej siedziby duszę hrabiego Olafa Łabińskiego, która poleciała szybkim lotem na skinienie magnetyzera.

Tymczasem dusza Oktawjusza oddalała się zwolna od ciała Olafa i, zamiast łączyć się ze swą formą, wznosiła się, wznosiła, jakby uradowana swobodą, i nie zdawała się myśleć o powrocie do więzienia. Doktora zdjął żal nad tą Psyche, trzepoczącą skrzydełkami, i pytał się sam siebie, czy w istocie będzie dobrze, jeśli się ją odwoła na ten padół płaczu.

W ciągu tych wahań dusza ulatywała coraz wyżej. Przypomniawszy sobie swą rolę, pan Cherbonneau powtórzył tonem rozkazującym nieodpartą zgłoskę i uczynił piorunujący wysiłek woli;

małe drzące światełko było już poza kręgiem przyciągania i wrychle znikło przez górne okno.

Doktor zaprzestał starań, o których wiedział, że są zbyteczne, i obudził hrabiego. Ów, ujrawszy w lustrze swe zwykłe rysy, wydał okrzyk radości, rzucił okiem na wciąż jeszcze bezwładne ciało Oktawjusza, jakby się chciał przekonać, czy w istocie pozbył się już cudzej skóry—i wybiegł, śląc doktorowi ręką pożegnanie.

W kilka chwil potem dał się słyszeć na dziedzińcu głuchy turkot karety, i doktor Baltazar Cherbonneau został sam z trupem Oktawjusza de Saville.

— Na trąbę Ganezy!—zawołał uczeń bramina z Elefanty—oto przykra historia; otworzyłem drzwi klatki, ptak uciekł i jest już poza sferą tego świata, tak daleko, że nawet sam sannyasi Brahma-Logum nie zdołałby go pochwycić; zostałem sam z tem ciałem bez duszy. Mogę je z łatwością rozpuścić w cieczech gryzących o takiej mocy, że nie zostanie ani jeden uchwytny atom, albo uczynić z niego w kilka godzin mumję faraona, podobną do tych, które zamykają w pudłach, opatrzonych napisami hieroglificznymi, ale zaczną się dochodzenia, przetrząsną moje mieszkanie, otworzą moje kufry, poddadzą mnie wszelkim rodzajom nudnego śledztwa...

W tej chwili olśniewająca myśl przebiegła mu przez głowę; chwycił pióro i nakreślił szybko kil-

ka wierszy na ćwiartce papieru, którą zamknął do szuflady biurka.

Na papierze widniały te słowa:

„Nie posiadając ni rodziny, ni krewnych, zapisuję cały mój majątek panu Oktawjuszowi de Saville, dla którego żywię szczególną sympatię — przyczem polecam mu wypłacić legat w wysokości stu tysięcy franków szpitalowi bramińskiemu na Cejlonie, dla zwierząt starych, znękanych i chorych, wypłacać dożywotnią rentę w wysokości tyśiąca dwustu franków mojemu służącemu Hindusowi i mojemu służącemu Anglikowi i oddać do biblioteki Mazariniego rękopis praw Manu“.

Testament, pisany przez człowieka żyjącego na rzecz zmarłego, nie jest jedną z najmniej dziwnych rzeczy w tem opowiadaniu nieprawdopodobnem, a jednak prawdziwem; lecz ta niezwykłość wyjaśni się natychmiast.

Doktór dotknął ciała Oktawjusza de Saville, którego nie opuściło jeszcze ciepło życia, przyjrzał się w lustrze swej twarzy pomarszczonej, spalonej i stwardniałej, jak pergamin, uczynił minę bardzo wzgardliwą i, wykonawszy nad sobą ruch taki, jakim się zrzuca z siebie stare odzienie, gdy krawiec przyniósł nowe, wymówił formułę Brama-Logum.

W tejże chwili ciało doktora Baltazara Cheronneau padło, jak piorunem rażone, na dywan, a Oktawjusz de Saville powstał silny, zdrow i pełen życia.

Oktawjusz Cherbonneau stał przez jakiś czas nad tym zewłokiem chudym, kościstym i żółtym, który, nie ożywiony potężną duszą, zdradzał wszelkie znamiona starości, powleczone maską śmierci.

— Bądź zdrow, nędzny lachmanie ludzki, wytarty na łokciach, wystrzępiony na wszystkich szwach, który wlokłem ze sobą przez siedemdziesiąt lat po wszystkich pięciu częściach świata! Służyłeś mi dość dobrze, i nie porzucam cię bez pewnego żalu. Przywyka się do tego, z czym się tak długo żyło! ale w tej młodej powłoce, którą moja wiedza uczyni silną, będę mógł studjować, pracować, przeczytać jeszcze kilka słów z wielkiej księgi i śmierć nie zamknie mi jej w najciekawszym miejscu, mówiąc:— „Dosyć“.

Wypowiedziawszy tę mowę żalobną nad samym sobą, Oktawjusz-Cherbonneau wyszedł krokiem spokojnym, aby objąć w posiadanie swe nowe życie.

Gdy hrabia Olaf Łabiński wrócił do pałacu, natychmiast zapytał, czy hrabina może go przyjąć.

Siedziała na ławce z mchu, w oranżerji, której kryształowe okna, do połowy podniesione, wpuszczały powietrze ciepłe i naświetlone; dookoła piętrzył się istny las dziewiczy roślin egzotycznych i podzwrotnikowych; czytała Novalisa, autora jednego z najsubtelniejszych, najrzadszych, najmniej materialnych, jakich wydał spirytualizm niemiecki; hrabina nie lubiła książek, które malują życie w barwach rzeczywistych i mocnych; ponieważ prze-

bywała w świecie wykwintu, miłości i poezji, samo życie wydawało się jej ordynarnem.

Odrzuciła książkę i z wolna podniosła swe oczy na hrabiego.

Bała się, że znowu w czarnych żrenicach męża spotka owo spojrzenie palące, burzliwe, pełne nieznośnych myśli, które ją tak boleśnie zdumiało, że zdawało się jej—myśl dzika, szalona—spojrzeniem obcego człowieka!

Z oczu Olafa biła spokojna radość, płonął w nich równy płomień miłości niepokalanej i czystej; obca dusza, która zmieniła wyraz jego rysów, uleciała na zawsze; Praskowja odrazu poznała swego umiłowanego Olafa, i nagły rumieniec radości ubarwił jej lica przejryste.

— Co czytasz, droga Praskowjo? — rzekł Olaf, podejmując z mchu książkę, oprawną w błękitną skórę.— Al historia Henryka z Ofterdingen — ta sama książka, której szukałem po całym Mohilowie, bo nagle jednego dnia, przy stole, wyraziłaś życzenie jej posiadania. O północy już leżała na twoim stoliczku, koło lampy.

— I wówczas powiedziałam że nigdy nie zdradzę się przed tobą z najmniejszą fantazją. Ty masz charakter owego granda hiszpańskiego, który prosił swą kochankę, by nie patrzyła na gwiazdy, ponieważ nie może jej ich ofiarować.

— Gdybyś ty sobie którąś upodobała, poszedłbym do nieba i prosił o nią Pana Boga.

Słuchając męża, hrabina odrzucała krnąbrny

kosmyk, który wywinał się z pukli włosów i błyszczał jak promień. Wskutek tego ruchu opadł jej rękaw i obnażył ramię, które, u napięstka, otaczała jaszczurka, usiana turkusami — ta sama, jaką miała w ów dzień zjawienia się w Cascine, dzień tak złowróżbny dla Oktawjusza.

— Pamiętasz—ozwał się hrabia—jakiego strachu nabawiła cię ta biedna mała jaszczurka, którą zabiłem uderzeniem laseczki—pamiętasz ten dzień kiedyś, na moje usilne prośby, po raz pierwszy zeszła do ogrodu! Kazałem ją zalać złotem i ozdobić kamieniami; ale nawet, jako klejnot, wydawała ci się wciąż jeszcze straszną—i dopiero po upływie pewnego czasu zdecydowałaś się ją nosić.

— O! bardzo się do niej przyzwyczaiłam i to najmiłsza z moich kosztowności, albowiem stanowi dla mnie jedno z bardzo drogich wspomnień.

— Tak—odparł hrabia—w tym dniu zgodziliśmy się, że nazajutrz oficjalnie poproszę ciotkę o twoją rękę.

Hrabina, odnajdując spojrzenie i ton prawdziwego Olafa, uspokojona w dodatku temi wspomnieniami, które im tylko były znane, wstała, uśmiechnęła się doń, wzięła go pod ramię i przeszła się kilka razy po oranżerii; po drodze wolną ręką zrywała kwiaty i gryzła ich płatki swemi świeżemi ustami, jak owa Wenus Schiavonego, która je róże.

— Ponieważ masz dziś taką dobrą pamięć—rzekła, rzucając kwiat, pokąsany przez jej perłowe

zabki — musiałeś z pewnością przypomnieć sobie i swój język ojczysty... którego wczoraj nie znałeś.

— Och! — odparł hrabia po polsku — przecież to język, którym dusza moja mówić będzie w niebie, do ciebie będzie mówiła, że cię kocham — jeżeli tylko dusze w raju mówią językiem ludzkim.

Praskowja skłoniła głowę na ramię Olafa.

— Kochanie moje — szepnęła — tyś znowu taki, jakim cię kocham. Wczoraj ja bałam się ciebie i uciekałam przed tobą, jak przed obcym.

Nazajutrz Oktawjusz de Saville, ożywiony duchem starego doktora, otrzymał list w czarnej obwódcie z prośbą o udział w pogrzebie Baltazara Cherbonneau.

Doktor, odziany w nowe ciało, szedł na cmentarz za swemi zwłokami, widział, jak go chowają, wysłuchał w skupieniu przemówień, jakie wygłoszono nad grobem, a w których oplakiwano niepowetowaną stratę, jaką poniosła nauka; poczem wrócił na ulicę świętego Łazarza i oczekiwał otwarcia testamentu, który sam dla siebie sporządził.

Dnia tego w kronice dzienników była następująca notatka:

„Doktora Baltazara Cherbonneau, znanego ze swego długiego pobytu w Indjach, ze swej wiedzy filologicznej i cudownych uzdrowień, znaleziono wczoraj martwego w jego pracowni. Dokładne oględziny ciała usuwają zupełnie podejrze-

nie zbrodni. Pan Cherbonneau uległ zapewne wyczerpaniu wskutek nadmiernej pracy umysłowej lub też zginął przy jakimś śmiałem doświadczeniu. Opowiadają, że własnoręczny testament zmarłego, znaleziony w biurku doktora, oddaje bibliotecę Mazariniego niesłychanie cenne rękopisy, a głównym spadkobiercą czyni pewnego młodzieńca z bardzo dobrej rodziny, p. O. de S."

KONIEC